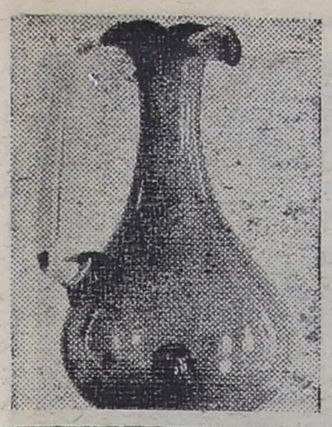

Dzban pełen obietnic 3

Polskie zakręty czerwiec 56 7

Daczedolne, daczegórne

Czyńcie ziemię poddaną 12

Festyn twardosto-pych 14

KOMITET WARSZAWSKI BIBLIOTEKA

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

25
(52)
KONTAKTY
28 VI 1981
Cena 4 zł

Fot. GABOR LÖRINCZY

demony codzienności

ANDRZEJ TCHÓRZEWSKI

Z niedawnych, już powojennych zawichrzeń często coś zostawało na trwałe. Kiełkowało samorzutnie, jednak nie „od zaraz". Rok 1956 przyniósł swobodę wypowiedzi artystycznej i odejście od polityki przymusowej kolektywizacji wsi; 1968 — ugruntowanie przekonania, że potrzebny jest sojusz klasy robotniczej i inteligencji; 1970 — niechęć do rozwiązań siłowych, przekonanie o potrzebie unowocześnienia gospodarki; 1976 — konkretyzację oraz instytucjonalizację sojuszu klasy robotniczej i inteligencji. A rok 1980? Nie ma jeszcze dostatecznej perspektywy, którą tworzy upływ czasu i przejście do jakiegoś innego typu stosunków społecznych, tak, aby „dawne" można było widzieć jako „minione", „historyczne". Wydaje się jednak, że niedługo pod tą datą wypiszemy: *„powstanie »Solidarności« — silnego gwaranta obrony interesów pracobiorców. Pierwszy istotny krok ku nowoczesnej demokracji socjalnej"*.

Naturalnie ta „wyliczanka" jest znacznym uproszczeniem i pewną idealizacją typologiczno-modelową. W wydarzeniach, które symbolizują znane nam wszystkim daty, starałem się dostrzec tylko treści „zwycięskie", te które przetrwały i weszły do praktyki społecznej. Nie oznacza to, że w swoim czasie były one dominujące lub jedyne. Np. w 1956 r. wypłynęły sprawy samorządu robotniczego, stosunku do Kościoła katolickiego i miejsca katolików w życiu społecznym kraju, a także kwestia autentyczności i samorządności organizacji młodzieżowych. Problemy te zupełnie nie załatwione lub załatwione w sposób niezadowalający społeczeństwo, przy różnych okazjach dawały o sobie znać, ciążąc na życiu publicznym, blokując rzeczywisty postęp. Wynika stąd parę, często banalnych wniosków. Po pierwsze, że społeczeństwo się zawsze o swoje upomni. Po drugie, że po to, aby rządzić

CIĄG DALSZY NA STR. 4—5

bez pardonu

z niemożnością w herbie

STR. 8—9

III wojewódzka konferencja partyjna

garść spostrzeżeń

Oto dwie postacie łomżyńskiego życia politycznego — Waldemar Szpaliński i Włodzimierz Michaluk, były i obecny I sekretarz KW PZPR podczas próby postaw. Grupa delegatów z Grajewa wnosi o uwzględnienie w wyborach kandydatury Szpalińskiego, choć nie zdobył mandatu delegata na wojewódzką Konferencję Partyjną. I wtedy Szpaliński: — Jestem głęboko wdzięczny za uznanie i poparcie. Byłbym jednak w niezgodzie z samym sobą, gdybym przystał na kandydowanie. Na Konferencji Miejskiej w Łomży reprezentowałem organizację partyjną przy ŁPB. Nie powierzono mi mandatu delegata na Konferencję Wojewódzką, a do władz i na delegatów na Zjazd powinni kandydować wyłącznie towarzysze delegaci. Jako członek kierownictwa czułbym się źle i wy ze mną nie czulibyście się lepiej. Są momenty, kiedy trzeba odejść ze stanowiska i zająć miejsce szeregowego obywatela. Nie widzę w tym żadnej osobistej tragedii. Uważam, że jest okres zmiany warty i temu trzeba się z honorem poddać.

Sala przyjęła to oświadczenie jako wyraz najwyższej godności i umiejętności odejścia z honorem.

Na stanowisko pierwszego sekretarza kandyduje pięciu delegatów: Mieczysław Czerniawski, Włodzimierz Michaluk, Kazimierz Piotrowski, Mirosław Skalski, Jerzy Szymanowski. Każdy z nich ma szansę wyboru. Przed pierwszą turą głosowania Konferencja żąda, aby kandydaci wygłosili swoje exposé. Program Michaluka jest niesłychanie pragmatyczny, rzeczowy. W jego wypowiedzi nie ma nic z gry wyborczej, próby zjednania sali. Tak samo reaguje na pytania zadawane przez salę. I choć wypada nieefektownie, to w kolejnych turach zdobywa coraz więcej głosów. Jego wybór jest stawką na rzeczowość, konkret, spokój i rozwagę w działaniu.

Już te dwa przykłady mówią o zapoczątkowaniu, niespotykanej dotychczas praktyki wyborczej wewnątrz partii, która pozwala jednym godnie odchodzić, drugim — uczciwie obejmować stanowiska. To niesłychanie ważne, bo demokracja wewnątrzpartyjna wyznacza poziom i charakter demokracji w całym społeczeństwie. Publiczny sprawdzian kandydatów, obsypywanie ich pytaniami, żądanie zaprezentowania własnego punktu widzenia na ważne sprawy społeczne, gospodarcze, ideologiczne jest niezmiernie czasochłonne, tak jak i czasochłonna jest procedura tajnego głosowania. Ale są to koszty, które warto ponieść, bo wtedy akt wyborczy nie staje się czymś mechanicznym, pozwala wyłowić najwartościowszych ludzi, i to tych, którzy do niedawna byli na drugim planie. Tak szczegółowo omawianie kandydatur daje rzetelniejszą wiedzę o ludziach, rozszerza krąg decydujących.

W drugim dniu obrad, po kilkunastu już godzinach debatowania, przeciskania się do mikrofonu, by zgłaszać kandydatów na członków KW, członków Wojewódzkiej Komisji Rewizyjnej i Kontroli Partyjnej, kandydatów na Zjazd, któryś z delegatów nie wytrzymał rozkoszy demokracji i wrzasnął: „Co to za konferencja?! Jak 25 lat w partii jestem, czegoś takiego nie widziałem!". Na co przewodniczący obrad, Michał Gajos, zauważył spokojnie: „Najwyższy czas, żeby coś takiego przeżyć".

Zupełnie w nowym stylu zaprezentowały się także głosy w dyskusji. W większości uwolnione z referatowych sloganów, pełne faktów i przemyślanych propozycji, ostre, ale i trzymające się ziemi, zazwyczaj wygłaszane a nie odczytywane. Nie omawiam ich, bo najciekawsze w całości wydrukujemy w „Kontaktach". Muszę jednak zwrócić uwagę na jeden charakterystyczny rys konferencyjnej dyskusji. Jest nim odejście od, tak do niedawna powszechnej, demagogii a zwrócenie się w stronę konkretów i poszukiwań środków zaradczych. Oby zwiastowało to kres czasu demagogów i początek powszechnego dochodzenia do głosu ludzi myślących. Narzekań, kwękań i beznadziei mamy już powyżej uszu. Zamiast powtarzać, że sytuacja w kraju jest wręcz krytyczna, zacznijmy skracać drogę od zbiorowych pomysłów do zbiorowego działania. W myśl wezwania — oszczędzać języki, nie oszczędzać mózgu i rąk. I tu przykład, który przytoczył wspomniany już tow. Gajos, a dotyczący uwiarygodnienia hasła „Wszystko dla rolnictwa". Otóż łomżyńska „Narew" ma na stanie nie wykorzystane ciągniki i przyczepy, które można od ręki przekazać rolnikom. W innych zakładach i przedsiębiorstwach też się coś zapewne znajdzie. Warto więc przejrzeć zakamarki i zaplecza.

Konferencja ujawniła szansę rychłego ocknienia się organizacji partyjnych, stopniowego przejmowania przez nich inicjatywy i, wreszcie, sprawdzenia się w walce politycznej. Ufajmy, iż codzienność to potwierdzi.

DELEGAT

zdarzenia

TELEGRAM

WALDEMAR SZPALIŃSKI
ŁOMŻA

W rocznicę ukazania się pierwszego numeru „Kontaktów" pozwalamy sobie wpisać Was, inicjatora i ojca chrzestnego Łomżyńskiego Tygodnika Społecznego, do stopki — w grono najwierniejszych przyjaciół i współpracowników. Czynimy to bez obawy odmowy, bo przecież przed miesiącami wręczyliśmy Wam legitymację prasową „Kontaktów".

Teraz, kiedy nie pełnicie już wiadomej funkcji, możemy — bez obawy o pochlebstwa — powiedzieć: dał nam los, znającego się na prasowej rzeczy patrona. Dziękujemy Wam za życzliwość okazywaną w chwilach, gdy pismo najbardziej jej potrzebowało. Dziękujemy za cierpliwe tłumaczenie mniej zorientowanym, że wychodzące co tydzień „Kontakty" nie mogą udawać dziennika, ani też przypominać urzędowego biuletynu, odnotowującego każdy krok sekretarza czy wojewody. Dziękujemy za dyskretne baczenie, aby poziom pisma starał się nadążać za wysokimi aspiracjami społecznymi i kulturalnymi mieszkańców regionu, by wychodząc na prowincji, nie dało się zepchnąć w prowincjonalny zaścianek.

Dziękujemy za zrozumienie, że redagowanie jest sztuką trudną, iż najbardziej dziś cenione pisma potrzebowały lat, by wyraźnie określić swój profil.

Pozostajemy z szacunkiem, przyjaźnią i wdzięcznością dla Was

Zespół „Kontaktów"

Z okazji wydania 50 numeru Waszego Tygodnika proszę przyjąć serdeczne gratulacje i życzenia dalszego rozwoju „Kontaktów", wielu nowych wartościowych inicjatyw, znakomitych piór współpracowników, rzeszy nowych, wiernych Czytelników.

Wysoki poziom redagowania pisma sprawia, że dobrze ono służy pobudzaniu społecznych inicjatyw w zakresie kulturalnej i społecznej integracji, popularyzacji tradycji kulturalnych, przemian społeczno-obyczajowych i gospodarczych zachodzących na Ziemi Łomżyńskiej.

Konsekwentnie utrzymujecie profil pisma, wnikliwie i wszechstronnie penetrujecie złożoną problematykę regionu, a celność publikacji dziennikarskich znajduje odbicie w licznych listach Czytelników. Składam za to całemu Zespołowi i Kierownictwu Redakcj serdeczne gratulacje wraz z życzeniami pomyślności osobistej i satysfakcji z dotychczasowych dokonań

dyrektor Białostockiego
Wydawnictwa Prasowego RSW
„Prasa-Książka-Ruch"
mgr Romuald Łazarowicz

Od redakcji: Podobne życzenia — także z okazji rocznicy (26.VI.) ukazania się pierwszego numeru „Kontaktów" — otrzymaliśmy też od Czytelników i zaprzyjaźnionych z nami zespołów redakcyjnych różnych czasopism. Stokrotnie dzięki za to.

Mile zaskoczeni, chcielibyśmy także serdecznie podziękować pomysłodawcom i organizatorom wystawy w Domu Środowisk Twórczych (Galeria pod Arkadami) pokazującej pięćdziesiąt numerów naszego pisma. Wzruszyliście nas życzliwą pamięcią. W zagęszczeniu zdarzeń nawet nie spostrzegliśmy, jak zszedł z maszyny rotacyjnej 50 numer naszego tygodnika i pewnie — gdyby nie życzenia — przegapilibyśmy też rocznicę ukazania się pierwszego numeru.

Zespół „Kontaktów"

dzban

pełen obietnic

Wacław Daruk
rolnik, publicysta.

Nazbyt wiele negatywnych zjawisk odkryto naraz w naszym społecznym, gospodarczym i politycznym życiu, aby można było je uzasadnić i właściwie ocenić. Uzdrawiacze naszych spraw narodowych — zarówno ci od głębokich rozważań i odkrywczych wniosków, jak i ci, dla których słowo „odnowa" stało się określeniem przydatnym na co dzień w gmatwaniu niejednokrotnie prostych spraw — nie odkryli dotychczas żadnej Ameryki. Nie jest jednak celem piszącego te słowa, licytacja nad „skutecznych rad sposobem", chcę tylko podzielić się własnymi uwagami.

Kiedy zagadnienie wyżywienia narodu wzrosło do rangi problemu, kolejki po artykuły żywnościowe uwidoczniły jego uwagę, zaś wszelkie „zielone światła" dla rolnictwa okazały się wiechciem wytartych sloganów, rzucono się do organizowania powszechnej krucjaty na rzecz rolnictwa. Ruszyły lawinowo nowe zarządzenia, dekrety, ustawy. Środki masowego przekazu, czując zwolnioną obrożę, z propagandy sukcesu przeszły na pozycje propagandy regresu. Słotna jesień, podniesiona do potęgi „klęski żywiołowej" tłumaczyła wszelkie nieudolności i bezwład zarządzania. Deficytowe ceny na zboże, przy sugerowaniu ich podniesienia, zarzutowały w skupie 1980 roku na podaży tego artykułu do magazynów spółdzielczych. Nic dziwnego, bo po co miało było wyzbywać, gdy propagowana wizja klęski nieurodzaju niosła nadzieję na korzystne ceny w najbliższej przyszłości?

Jesienna [illegible] ziemniaków na punktach skupu, nie pokrywające nawet kosztów ich zbioru, zaczęły zwyżkować, co obudziło natychmiast trend do magazynowania ich do wiosny we własnych gospodarstwach chłopskich. Także szeroko propagowany obraz katastrofalnej sytuacji zadziałał na chomikowanie zbiorów, tak rzeczywiście ciężko wydartych ziemi. Żywnościowe braki rynkowe, przekalkulowane w studiach masowego przekazu na miarę uproszczonej wykładni rozsławiać zaczęły *urbi et orbi* polskiego chłopa i jego możliwości wydźwignięcia kraju z kryzysu. Urosła złudna nadzieja, że jakby minął ciężki przednówek, to kraj wróci do dobrobytu i dosytu. Nic błędniejszego niźli takie rozumowanie! Kryzys żywnościowy w kraju, to nie wyłączna przyczyna ogołocenia rynku z artykułów spożycia na skutek powodzi i złych warunków klimatycznych ub. roku, czy też niegospodarności producentów mięsa i chleba. Dane statystyczne wykazują właśnie kolosalny wzrost produkcji rolnej ostatnich lat. Wynika z nich obraz wzrostu plonów zbóż od 16,1 kwintala na 1 hektar w roku 1960, przez 19,6 q/ha w roku 1970, do 24,8 q/ha w roku 1975. Zaś regres, według danych GUS-u, w roku 1980 wyniósł jedynie 1,2 q/ha zniżki plonów. Co nie znaczy bynajmniej, że tego zboża zabrakło. Ale trzeba pamiętać, że niezależnie od polityki cen, suma napięć społecznych w kraju od sierpnia ub. roku też zarzutowała znacznie na gromadzenie zapasów we własnych gospodarstwach. Ponadto właśnie stosowanie dotacji państwa do cen gotowych artykułów żywnościowych, prowadziło w konsekwencji do nieopłacalności produkcji rolnej, marnotrawstwa chleba i mięsa, no i w sumie — do braku żywności, najistotniejszej przyczyny znanych napięć społecznych.

Relacja cen mieszanek przemysłowych do zboża też ma tu swą wymowę, a niewprowadzenie formy dopłat z dniem 1 lipca 1981 roku za zboże zbywane przed tą datą, hamuje skup tegoż artykułu na bieżąco, po prostu przez zanik podaży.

Inny natomiast jest wymiar spadku hodowli bydła w roku 1980. Niezależnie od nieopłacalności produkcji mleka w tym okresie, brak paszy wywołany ulewnymi deszczami w czasie jej zbiorów zarzutował na spadek pogłowia bydła. Utrzymanie się stanu trzody chlewnej na poziomie roku 1975, przy tak ograniczonym dostępie do mieszkanek przemysłowych, dowodzi natomiast raz jeszcze o możliwościach produkcji pasz własnych i zapasach zbóż w gospodarstwach indywidualnych. Że nie są to gołosłowne wywody świadczy fakt, że ceny wolnorynkowe zbóż, w takim np. byłym powiecie hrubieszowskim, nie osiągają pułapu cen projektowanych na dzień 1 lipca 1981 roku w skupie państwowym, a ich podaż na rynku, przewyższa popyt. Uzasadnia to chyba wystarczająco moje wnioskowanie, co do zapasów własnych gospodarstw chłopskich.

Garstka tych uwag stanowi żywą ilustrację tego, jak trudnym problemem jest gospodarka chłopska, również dla tych, którzy są czynnikiem doradczym i kierowniczym tej warstwy. Niestety nigdy chłopami nie byli i złożoności zagadnień wsi nie pojmowali. Bo przecież faktem jest, że z problematyką chłopską i polskiego rolnictwa nie radzi sobie wielu naukowców, a nawet specjalistycznych instytutów, mimo iż na brak doradców wieś się uskarżać nie może. Płyną obfitą strugą konstruktywne propozycje zmian na lepsze ze strony związków, kierownictw, różnego rodzaju służb, a nawet przeprofilowanego przemysłu, ustawionego rzekomo na produkcję dla celów rolniczych. Leją się słowa zachęty i obietnic — przy jednoczesnym kompletnym braku zaufania do ich prawdziwości ze strony chłopów. Tych samych, których już zbawiono siewnikami nawozowymi, kończącymi swój ledwo rozpoczęty żywot w pokrzywach, monstrualnymi pługami, czy zgoła plastykowymi siewnikami na szyję, zamiast „kompromitujących" tradycyjnych płachet lub wiader. Trzeba być chyba z kamienia, aby nie uwierzyć w tę szeroką pomoc dla rolnictwa, w ramach odnowy, do której angażują się robotnicy i ich związki zawodowe, najrozmaitszych odcieni. Mimo tych gorących deklaracji przeprofilowania pod kątem potrzeb wsi zakładów i „pełnego zrozumienia", nie przybyło nie tylko akumulatorów, opon do traktorów czy bodaj zwykłych uszczelek, metra łańcucha do uwiązania bydlęcia, pługów, bron i lemieszy oraz łopat z prawdziwego zdarzenia, ale nawet przysłowiowych wideł do gnoju.

Jak się więc okazuje, sprawa odbudowania wzajemnego zaufania działa obustronnie, a słabość i niewydolność rolnictwa wynika, mimo wszystko, z ogólnej niewiary w chłopa i pełnego uznania jego pracy. Wszelkie niezbędne atrybuty wzrostu produkcji rolnej wywodzić się muszą ze zrozumienia tego, jak i czym się produkuje, za co i kto produkuje. Ziemi, tego podstawowego środka produkcji, jeszcze nikt dotąd nie zdołał oszukać, a wyników jej plonów nikt nie rozwiązał żadną uchwałą, zarządzeniem, mądrym pouczeniem, czy obietnicą. Nieczuła na słowa, odwdzięcza się jedynie za to, co w nią włożono. Rolnik i tylko rolnik — producent zna tajemnice i sposoby na ożywienie jej sił żywotnych, dających prosperitę plonów. Ale rolnik wyposażony w instrumenty wpływania na przemysł produkujący dla potrzeb wsi i rolnictwa, władny oddziaływania na politykę inwestycyjną w rolnictwie, niezależny od aparatu administracyjnego w sprawach produkcji i swych warunków bytowych. W aspekcie podniesienia produkcji i jej zwielokrotnienia nie może być pozostawiony sam sobie, a i sam nie powinien zamykać się w opłotkach własnej zagrody. Właśnie siła ukształtowania warunków zmusza rolnika-producenta do bezsloganowego sojuszu z klasą robotniczą przemysłu i usług.

Bez przemysłu nie ma produkcji. Jedną krowę wydoją ręce ludzkie, natomiast do wydojenia 6—8 krów niezbędna jest dojarka elektryczna. Dziś chleb produkuje zarówno chłop na roli jak i kierowca, kolejarz, górnik, monter, profesor instytutu, a nawet kierownik skupu zboża czy żywca, nie blokujący dostaw, nie lekceważący czasu chłopa. Wmawianie chłopom, że to oni sami zdolni są — w idealnie zorganizowanym samorządzie — zlikwidować kryzys żywnościowy, jest zwykłym nieporozumieniem. Przecież samo zwiększenie dawek nawozów mineralnych — bez odpowiedniej agrotechniki, optymalnego i racjonalnego siewu, doborowym do danej gleby ziarnem, właściwej pielęgnacji — nie podniesie plonów. Również nasycenie warsztatu rolnego wystarczającą ilość środków produkcji jest znacznym uproszczeniem, bez wniknięcia w meritum sprawy.

Właśnie te środki produkcji, rzeczowe i opłacalne ceny za artykuły rolne, postęp biologiczny nauki, melioracje, zaopatrzenie w energię elektryczną i w wodę, drogi, opał, młyny lub mąkę, wysoka ranga oświaty rolnej, sprawnie działające na wsi środki obsługi rolnictwa, zdjęcie ze wsi ciężaru wystawania w kolejkach za środkami żywności wraz z przemierzaniem kilometrowych odległości i wyczekiwaniem na przydziałowe kartki oraz wielu innych bezsensownych barier w kształtowaniu swobodnej decyzji, umożliwiających bezawaryjną pracę — stanowią o rolnictwie i jego prosperitie. Takim będzie rolnictwo, jakim będzie stosunek do spraw chłopa i jego zawodu wszystkich bez wyjątku grup społecznych oraz samych decydentów. Nie obciążajmy wyłącznie chłopa obowiązkiem wyżywienia narodu, kiedy sprawa ta dotyczy wszystkich bez wyjątku. Oczekiwanie w odświętną sobotę na wiejską żywność niczego nie rozwiąże i niczego nie da. Chłop bez węgla i parnika nie uchowa świni, a wystawienie go w kolejkę po cukier, proszek do prania, gwoździe, zapałki i papierosy upodobni go rzeczywiście do mieszczucha i to tego od narzekania i bezproduktywnej bierności. Wszak ubytki produkcyjne w przemyśle i wydobyciu I-go kwartału br. mogłyby zmniejszyć istotne braki artykułów pierwszej potrzeby.

Próżne jednak byłyby apele o wydajniejszą pracę. Nawet nie dlatego, że brakuje środków produkcji, zwykłej energii czy opału. Wydaje się, że brakuje jeszcze czegoś — społecznej potrzeby zorganizowanej pracy. Nie widać żadnych struktur i rzeczowych motywacji, będących motorem napędowym samej chęci do pracy. Chłop jeśli pracuje, to w miarę włożonego wysiłku widzi owoce swego trudu, na które czeka zarówno ten rzetelny robotnik w fabryce czy na budowie, jak i ten wystający przed kioskiem z piwem. Obaj — jak na ironię — jednakowo wynagradzani! I nikt nie pomyśli o egzekwowaniu efektywności i jakości pracy, zarówno jednego jak i drugiego. Czy którykolwiek chłop zechciałby zatrudnić w swoim warsztacie pracy nieroba z wymaganiami do wolnych dni i dobrej wyżerki? Wieś zdana na własne siły, wyrabowana z młodych nie wróci do tradycyjnej formy pasienia krowiny w przydrożnym rowie. Lecz same zapowiedzi korzystnych rozwiązań nic nowego nie wniosą — zwłaszcza, gdy zawieszone w próżni, jedynie czekają na dobre losy. Tylko część ich się sprawdza i te procentują wzmożonym wysiłkiem. Nie bójmy się samodzielności wsi. Świadomy swej roli w socjalistycznym państwie chłop, prostujący zgarbione plecy, podoła wszelkim zadaniom uporządkowania własnego podwórka. Ostatnie decyzje państwowe wobec wsi i rolnictwa nie zawisną w próżni, gdyż nie ma innej alternatywy rozwiązania kryzysu żywnościowego. Chodzi tylko o to, aby nikt i nigdy — wyręczając się chłopem — nie rzucał mu kłód pod nogi i nie zwalał nań winy na nie popełnione zbrodnie.

Trudny czas rozrachunku wymaga trzeźwych ocen. Chłopska pracowitość, rzetelność i bezkompromisowa uczciwość nie obroni się sama w sobie. Jest to nierealne bez ogólnego zrozumienia prostego przecież pytania: Skąd się bierze chleb?

polski dylemat - nadzieje i zwątpienia

demony dzisiejszy dnia codziennego

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

trzeba mieć maksimum przyzwolenia społecznego tzn. poparcie jak najszerszych warstw społeczeństwa. O trwałości rządów decyduje bowiem poziom akceptacji rządzonych. Problemów społecznych nie można wymanewrować czy odłożyć ad acta.

Pobożne życzenia i rzeczywistość

Manewrowanie czy manipulowanie wyznacza jedynie proces erozji władzy. Zręczność może ów proces opóźnić. Niezałatwione sprawy tworzą katalog żądań społecznych. Ale nacisk rewindykacyjny nie zawsze jest możliwy. Zmienia się społeczne odczucie ważności poszczególnych spraw z „katalogu", stopień społecznej samowiedzy i poczucie realizmu. Powstaje dynamiczny układ sił, opinii i realiów. Wymaga on niefałszowanego badania, oceny i działań. Wszelkie działanie nieliczące się z rzeczywistością jest działaniem, w ostatecznym wyniku, pozornym.

Kto jak kto, ale marksiści swą ideologią zobowiązani do dialektycznego myślenia mają wszelkie szanse na prawdziwe uchwycenie skomplikowanych zjawisk tworzących ów dynamiczny, wciąż zmnieniający się, układ. Szansa nie oznacza jednak gwarancji ani patentu. Aby ją wykorzystać, trzeba zrezygnować z magicznego myślenia czy demagogicznych haseł. A już z pewnością nie można mieszać „pobożnych życzeń" czy postulatów z rzeczywistością. Front Jedności Narodu — to postulat z odświętnych akademii. A nasze społeczeństwo jest normalne. Sprzeczność interesów grupowych i zawodowych, lobbies, grupy nacisku tworzą prawdziwą rzeczywistość. Jaki charakter mają te sprzeczności? Antagonistyczny? Nieantagonistyczny? Może nie trzeba problemu rozstrzygać po maoistowsku (patrz: „O właściwym traktowaniu sprzeczności w łonie ludu"), może najwięcej znaczy samo istnienie sprzeczności. Boje, w których „stawką jest życie", stacza się nie tylko o środki produkcji. Ponadto w świetle nowszych doświadczeń, niedostępnych klasykom marksizmu-leninizmu, okazuje się, że waży nie tyle sama własność środków produkcji, co możliwość dysponowania nimi. Najprostszy przykład: państwową czy spółdzielczą koparką można „prywatnie" zarabiać pieniądze, nawet w czasie już opłaconym przez społeczeństwo. „Pracując dla kraju pracujemy dla siebie" — powtarzali cynicznie różnego typu kombinatorzy, przy okazji ośmieszając jedno z buńczucznych gierkowskich haseł.

Tylekroć wyszydzane przeciwieństwo „my — oni", rządzący i rządzeni, nie jest mrzonką, ale faktem społecznym. I żadne pobożne życzenie niczego tutaj nie zmieni. Po prostu jedni podejmują decyzje wpływające na życie i zachowanie nie znanych im osobiście współobywateli, drudzy co najwyżej mogą decydować o sobie czy swoich dzieciach. Pełny opis procesu podejmowania decyzji makrospołecznych oraz jednostkowych byłby opisem funkcjonowania społeczeństwa, jego wynaturzeń i rzeczywistych hierarchii.

W obecnej sytuacji walka z podziałem na „my" i „oni" to propagandowa niezręczność, przeciwko której buntuje się doświadczenie grup i jednostek. Słuszna masowa krytyka propagandy wynika stąd, że zbyt często z różnych powodów propaganda ta przeciwstawia się faktom i odczuciom społecznym. Nie pomoże tu ględzenie ani uchwały o potrzebie odzyskania zaufania. Np. kuriozalna uchwała KC PZPR przy „Radiokomitecie", w której znalazł się i taki punkt, że na zebraniach partyjnych należy zwracać się do siebie per „towarzyszu" bez zbędnej tytułomani.

Propaganda w malinach

Propaganda to nie bank ani kredytobiorca. Propaganda musi być robiona fachowo. I zdarza się, że tak jest. O wiele częściej, mimo „zmiany stylu", z każdego kąta wyłazi nieudolność i dyletantyzm. Nie wystarczy „propagandę sukcesu" zmienić w „propagandę klęski", „bank trzydziestu miliardów", w „telewizję w sprawie miliardów" (nota bene audycja ta stanowi świetny przykład negowania społecznego podziału pracy), żeby otrzymać dobrą propagandę.

„Propaganda klęski" odbiera ludziom nadzieję i działa przygnębiająco. Naturalnie nie nawołuje do ostrzejszej cenzury, ale do większego umiarkowania. Dziś bez „Instytutów Demaskopii", bez badań, nie można stwierdzić, co jest bardziej szkodliwe: (fałszywa) „propaganda sukcesu" czy (prawdziwa) „propaganda klęski". Logiczną i zasadną wydaje się opinia o jednakowej szkodliwości obu wynaturzeń. Dodajmy, że irytujące jest jakże często prawdziwe stwierdzenie, że ci sami ludzie, którzy żarliwie robili propagandę sukcesu dziś równie gorliwie propagują klęskę.

Świadomość tego dziś skutecznie dyskredytuje wiele działań propagandowych, źle również wpływając na odbiór przekazywanych treści. W tej sytuacji zmiana twarzy (i piór) wydaje się sprawą konieczną. Ale to zaledwie pierwszy krok.

Możliwie najpełniejsza informacja i niearogancka propaganda stanowią minimum. Lepiej całkowicie zrezygnować z propagandy, publicystyki, przekonywania ludzi, niż robić to źle. Najlepiej jednak zacząć realizować leninowski model propagandy. Jakiż to model? Czy ma zastosowanie w naszych warunkach? Wydaje się, że tak. Zdaniem Lenina dobra propaganda powinna ujawniać najskrytsze i najsilniejsze pragnienia, czy dążenia mas. Właśnie pragnienia, „subiektywne" odczucie, a nie „obiektywne", czyste fakty. Propagandzie operującej prawdziwymi faktami grozi oczywistość, banał i nuda. Propaganda skłócona z faktem, kłamie i również jest szkodliwa.

Propaganda nie może zajmować się drugorzędnymi problemami, zachowując milczenie w sprawach zasadniczych, gdyż wówczas można ją zasadnie podejrzewać o manipulowanie społeczeństwem. Przykładem dobrej i skutecznej propagandy, właśnie leninowskiej z ducha, jest propaganda bolszewicka w okresie między rewolucją lutową a październikową. Hasła: „Pokój — ludom! Ziemia — chłopom! Władza — Radom!". Wyrażały powszechne pragnienia i dlatego były powszechnie akceptowane. Przykładem bardzo złej, „antyleninowskiej" propagandy są nasze środki masowego przekazu w okresie od września do IX Plenum. Teraz może ciut się polepszyło, ale jeszcze trudno mówić o powszechnym osiągnięciu stanu zadowalającego.

Nie sądzę jednak, żeby wynikało to ze złej woli dziennikarzy czy dysponentów. Całe lata ujemnej selekcji w zawodzie, brak przemyśleń i odpowiednich badań teraz dają o sobie znać... Propaganda to delikatny instrument. I tak w każdej dziedzinie; deklaracje, nawoływania i połajanki nie zastąpią tu fachowości i pracy. Szczególnie szkodliwe wydaje się „telewizyjne" kwękanie o potrzebie „odbudowy zaufania". Słabych nikt nie lubi, słabych nikt nie szanuje.

Ważną dla propagandy sprawą jest jakość prezentowanej argumentacji. Dzisiaj nikogo nie przekonają ładne słówka, „odświeżone" slogany. Tylko zdrowy rozsądek i korzyści społeczne, a więc powszechne, mogą liczyć na zrozumienie czy akceptację. Tak się jednak „fatalnie" składa, że życie dezawuuje dość szybko radiowo-telewizyjną argumentację. „Wiarygodność" jej więc maleje, a nie wzrasta.

Weźmy dla przykładu kampanię poprzedzającą wprowadzenie kartek. W TV najpierw mówiono o „reglamentacji", używając eufemizmu, chociaż Sierpień ośmieszył wiele eufemizmów jak „przestoje" czy „przerwy w pracy". Następnie telewizyjni spece od „nowo-mowy" zaczęli klarować masom, jak to są pokrzywdzone przez brak kartek. Wizję wspaniałego świata uzupełniły sugestie i zapewnienia, że kartki zlikwidują kolejki i marnotrawstwo czasu. Stało się inaczej. Jeszcze raz nieudolni propagandyści trafili kulą w płot. I teraz tłumaczą się bogactwem życia, nieprzewidywalnością zjawisk społecznych lub, udając głupich czy naiwnych, mówią o tych kolejkach, których przecież miało nie być.

A wystarczało trochę wyobraźni społecznej, żeby samemu dobrowolnie nie pakować się w maliny. Co więcej, w niektórych audycjach nieśmiało przedstawiano racjonalną argumentację twierdząc, że kartki ułatwią zaopatrzenie na wsi, w małych miasteczkach i średniej wielkości miastach pozbawionych przemysłu. Ale ten głos rozsądku i egalitaryzmu utonął w optymalnej futurologii.

Wbrew red. Bratkowskiemu i red. Kalabińskiemu twierdzę, że prawdziwym nieszczęściem naszej propagandy są odzwyczajeni od myślenia dziennikarze. I tu dominują przeciwstawne dwa typy, które mają wspólną cechę: bezkrytyczność. Jeden z nich to spadek po propagandzie sukcesu. W każdym pociągnięciu władz, nawet takim, które zostało podyktowane smutną koniecznością, widzi wyłącznie pozytywy. Swą energię skupia na wykazywaniu — jakże to genialny krok podjęły władze. Drugi rodzaj mistrza pióra nazwałbym redaktorem-heglistą. Hołduje bowiem zasadzie, że *„wszystko co rzeczywiste jest rozumne"*. Spekulacyjne ceny żywności? Ależ tak chce życie! Powrót do realiów: ze zdumieniem wysłuchaliśmy więc, 4.V.br. w Polskim Radiu paru komunałów w rodzaju: „...to nie rolnicy doprowadzili kraj do chaosu gospodarczego", uzasadniających... czarno-rynkowe ceny lepszych gatunków mięsa. A już 5.V. odczytano list rolników protestujących przeciwko dyktatowi czarnego rynku. Przepraszam, ale ktoś w tej firmie powinien myśleć i nie denerwować ludzi opowiadaniem bzdur, że 400—450 zł za kilogram schabu, to cena godziwa, wynikająca z kosztów produkcji.

Inny przykład: kampania poprzedzająca podwyżkę cen alkoholu. Istny popis nieudolności, fuszerki i amatorszczyzny. Jedynie prof. Bobrowski miał odwagę stwierdzić, że w całej tej operacji chodzi o zmniejszenie „nawisu inflacyjnego", a nie o walkę z alkoholizmem. Naturalnie, nie sądzę, że właśnie praca pro-

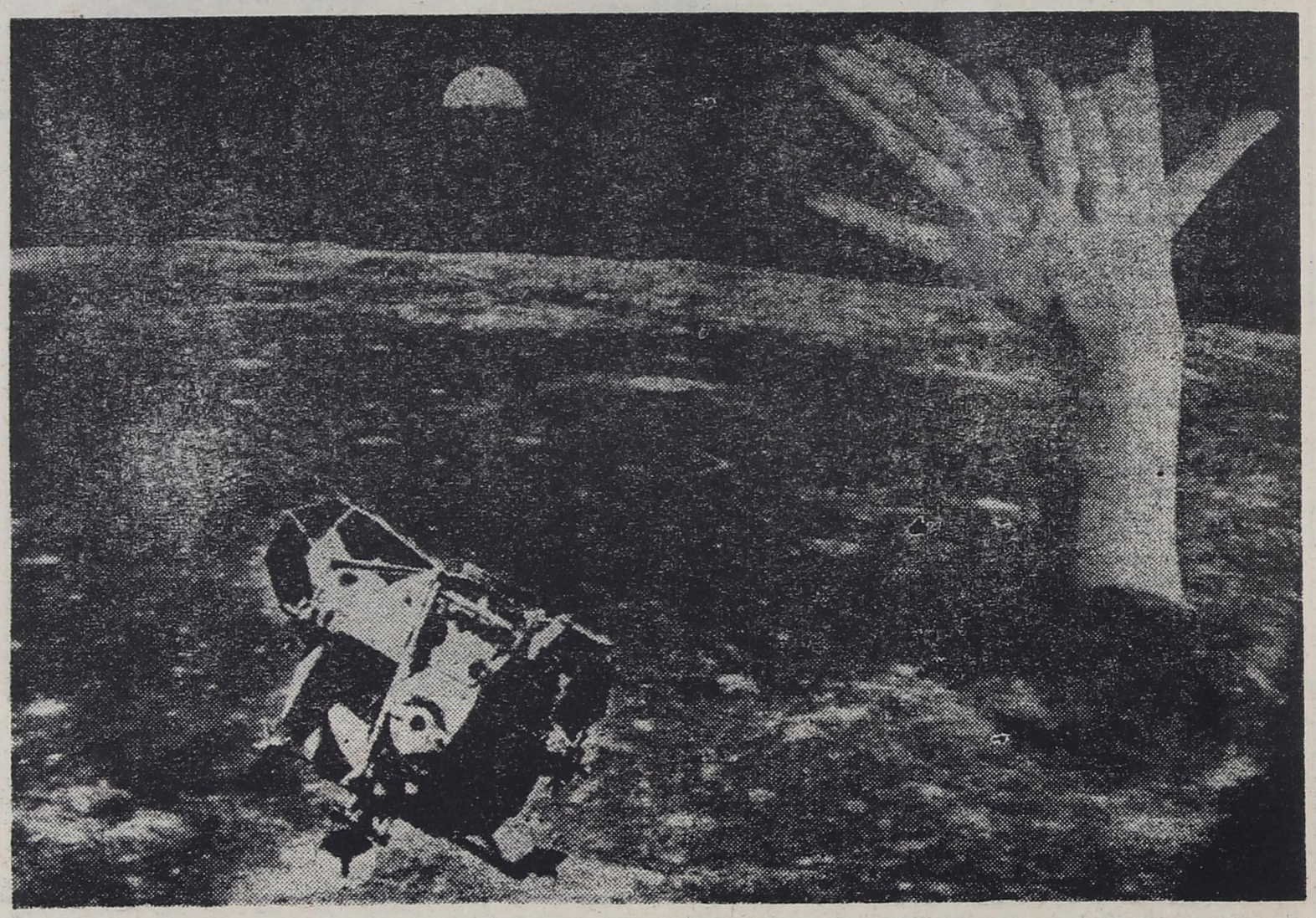

pagandy to najważniejsza sprawa. Znam inne, ważniejsze. Problem jednak polega na tym, że propaganda nadal zbyt często niepotrzebnie szkodzi. Zmiana tego stanu rzeczy nie wymaga dodatkowych pieniędzy, nowych inwestycji, a tylko fachowości oraz poważnego traktowania społeczeństwa. Bo lud to nie ciemna masa, której trzeba coś wmówić, ale prawdziwy chlebodawca, jedyny suweren, który powinien być traktowany jak zwierzchnik, nie tylko w deklaracjach i pustych deklamacjach.

Władza nie ma monopolu na błędy

Najważniejszą trudnością wynikającą z obecnej sytuacji jest konieczność jednoczesnego działania w kwestiach doraźnych i dalekosiężnych. A przecież dzień dzisiejszy może być wrogiem przyszłości, wspaniałe zaś systemowe rozwiązania wymagają czasu i nakładów.

Dochodzi niebagatelna bariera psychologiczna; sprzeciw społeczeństwa wobec ewentualnej „inżynierii przez manipulację", opór przeciwko „socjotechnice". Stąd żądania jawności dyskusji i decyzji. Z punktu widzenia dotychczasowych doświadczeń żądanie arcysłuszne. Ze względów praktycznych często nawet szkodliwe. Nie wyobrażam sobie publicznej, poważnej dyskusji o funkcjonowaniu gospodarki narodowej na poziomie popularnym, bez udziału ekspertów. A przecież samo określenie „ekspert" zostało zdewaluowane i w świadomości społecznej oznacza konformistę lub klakiera podsuwającego władzy upragnione przez nią rozwiązania.

Dyskusja przy drzwiach zamkniętych budzi nieufność, o „gabinetowych rozstrzygnięciach" nikt nie chce słyszeć. O ile łatwo jest znaleźć praktyczne rozwiązanie w przypadku konfliktu, rozstrzygnięć doraźnych i reform przyszłościowych, o tyle trudno usunąć cień społecznej nieufności towarzyszący rozmowom niektórych grup fachowców. Są wprawdzie precedensy. Ostatecznie w sierpniu po obu stronach byli eksperci, rozmawiający przy „drzwiach zamkniętych". Rezultaty rozmów i wspólne ustalenia podano do publicznej wiadomości. Czy ten tryb zyskał na trwałe „społeczną akceptację"? Można przypuszczać, że tak. Tylko przypuszczać.

Oczekiwaniom „rządzonych" towarzyszą obawy „rządzących", że podjęte decyzje nie zyskają społecznej aprobaty lub nie przyniosą pożądanych rezultatów. To paraliżuje działanie. A działać trzeba szybko i bezbłędnie. Nie zwolennicy „gry na zwłokę", których jest chyba niewielu, ale zwłoka wynikająca z obaw przed „pochopnym działaniem" może być poważnym źródłem konfliktów. Po obu stronach.

Władza popełniła wiele błędów, ale głupotą byłoby przypuszczać, że tylko władza ma monopol na błędy. Wbrew utartym już sloganom śmiem twierdzić, że klucz do sytuacji nie znajduje się ani w KC, ani w KKP, ale w rękach społeczeństwa. Jak zawsze zadecyduje milcząca większość. O jej uznanie musi zabiegać i Partia, i „Solidarność". Ludzie chcą wolnych sobót, ale nie za cenę wielogodzinnego wystawania w kolejkach, czy praktycznie czterodniowego pełnego funkcjonowania placówek handlowych lub usługowych. O losie socjalizmu zadecydują kolejki. Ten, kto opanuje ów żywioł i zniszczy wszelką patologię handlu, zyska sobie uznanie społeczeństwa. Potrzebne są szybkie decyzje i zdecydowane działania, wymierzone w spekulację, czarny rynek oraz sprzedaż protekcyjną.

A przede wszystkim potrzebne są akty prawne umożliwiające działalność „antyspekulacyjną". Skoro kolejki i kartki są trwałym komponentem naszego życia trzeba je potraktować poważnie. Tymczasem znane są przypadki, że mimo przedłużenia ważności kwietniowych kartek do 6 maja br., w Łomży i Warszawie nie wszyscy mogli wykupić kwietniowe przydziały masła czy lepszych gatunków mięsa, jeśli nie chcieli decydować się na wołowinę. Po prostu zabrakło towaru. Zapewne chodzi tylko o jednostki. Jednak to nie powinno mieć miejsca, gdyż robi złą krew, słuszne rozgoryczenia, niewiarę w szczerość intencji i poczynań władz.

Zdecydowanych działań wymaga system dystrybucji towarów obecnie preferujący niepracujących. Przed południem w kolejkach wystają głównie emeryci. Po południu często nie ma już w sklepach żadnych potrzebnych towarów. Co w tej sytuacji mają robić kobiety pracujące i samotnie wychowujące małe dzieci? A ludzie ciężko chorzy czy zniedołężniali? Ktokolwiek weźmie się poważnie za organizacyjne sprawy naszego systemu dystrybucji towarów, który trudno przecież nazywać handlem, zyska sobie ogromne rzesze zwolenników.

Tymczasem patrząc na pewne pociągnięcia „organizacyjne" odnosi się wrażenie, że chodzi o coś zupełnie przeciwnego, o maksymalne wykończenie społeczeństwa. *Vox populi* dostrzega inspiratorów czy mocodawców takiej socjotechniki, właśnie w szeregach adwersarzy. Niektórzy zwolennicy „Solidarności" zaczynają oskarżać władzę o organizowanie bałaganu i eskalację niezadowolenia. Partyjni mówią to samo o „Solidarności", entuzjaści reform — o sceptykach. Krąg nieufności rozszerza się. A podziały społeczne pogłębiają. I to nie są żarty.

Trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, że wzrost chaosu i dezorganizacja codziennego życia nie służy nikomu, żadnej organizacji czy Partii. Wynikają stąd wnioski praktyczne, którym należy jak najszybciej nadawać kształt organizacyjny. Obojętnie kto to uczyni: PZPR, „Solidarność" czy powstający ruch konsumencki. Bezwzględny priorytet należy bowiem przyznać rozwiązywaniu doraźnych bolączek, nawet jeśli odłożymy reformy strukturalne. Lepsze „jutro" zaczyna się od bardziej sensownego „dziś". Bez prób przeciwdziałania aktualnym kłopotom, rozprawianie na temat odnowy, zaufania itd., będzie tylko czczą gadaniną. W dodatku często irytującą lub po prostu nużącą.

Z kwestionariuszem po „żytniówkę"

Niedawna podwyżka cen na alkohol, kolejki przed sklepami monopolowymi oraz eksperyment w Głuchołazach, ożywiły publiczną dyskusję na temat alkoholizmu, reglamentacji i nawet kartek. W dyskusjach, szczególnie telewizyjnych, wypowiedziano wiele bzdur. Nie jesteśmy narodem alkoholików, jak sądzą niektórzy zacietrzewieni propagatorzy trzeźwości. Nie mamy największego spożycia w Europie na głowę mieszkańca. Podobno gubi nas tylko picie wódy i spirytusu, a więc wysokoprocentowych napitków.

Stąd już tylko krok od stwierdzenia, że lepiej pić wino i piwo. W przeszłości podejmowano stosowne przedsięwzięcia na rzecz zmienienia „struktury popytu". Rezultaty — opłakane. Propagowanie picia piwa nie przyczyniło się do spadku picia wódki. „Pyfko" zamiast osłabiać kieliszek, wzmocniło jego działanie i jako „utrwalacz" weszło na stałe do obyczaju picia. Reńskie rizlingi też nie wyparły popularnych sikaczy. Trzeba porzucić mrzonki o zmianie „struktury picia". Polacy nie będą Włochami. Należymy do „kultury" wódki, a nie wina czy piwa. I w ramach tej kultury musimy działać pozbywszy się również złudzeń, że podwyżki cen alkoholu zmniejszają spożycie. Już 17 czy 16 razy ta metoda zawiodła. Przestańmy się czarować. A zatem: reglamentacja? I odwrotna strona medalu: meliny, bimbrownie.

Swego czasu Finowie, którzy również lubią wódkę, wprowadzili u siebie dość skuteczny system reglamentacji. I uzyskali znaczny spadek spożycia. Wódka, „pod wydział" — na kartki. Wszędzie: w sklepach, w restauracji, w barze. Litr miesięcznie na dorosłego obywatela. A więc prawie tak jak w Głuchołazach? Niezupełnie, bo Finowie przewidzieli również i to, że przydział może nie wystarczyć. W takiej sytuacji zainteresowany wypełnia w sklepie krótki formularz z podaniem o przydział dodatkowej, dowolnej ilości wódki. Jest to właściwie formalność. Podanie można umotywować, można też odpowiednią rubrykę zostawić niewypełnioną. Ale sam fakt złożenia podania nie jest bez znaczenia. Z czterech egzemplarzy (pisze się przez kalkę) jeden wędruje do pracodawcy, drugi do Poradni Przeciwalkoholowej, trzeci na policję, czwarty do władz gminy lub innych terenowych organów administracji. Po kilku takich podaniach delikwent może oczekiwać zaproszenia na komisariat policji, spotkania z lekarzem i skierowania na przymusowe leczenie, czy przykrej rozmowy z dyrektorem względnie pominięcia przy najbliższym awansie.

Picie przestaje być anonimowe. Skutki; Finowie wolą jeździć po wódkę do sąsiadów. Ale to przecież kosztuje i nie stanowi ułatwienia. Wódkę można dostać w zasadzie bez kłopotów (kłopoty zaczynają się później), a więc ten system nie stymuluje wzrostu bimbrowni czy melin. Ceny alkoholu wykupionego „na przydział" i „na podanie" są takie same. Formalności zajmują kilka minut. Niepotrzebny nawet dokument tożsamości, wystarczy podpis obywatela. U nas ten system musiałby być trochę zmodyfikowany. Nie brak przecież kanciarzy i kombinatorów. Nasze sklepy nie zatrudniają gońców. Ale to drugorzędne szczegóły wobec beznadziejnego stanu lecznictwa odwykowego, brakuje miejsc, personelu, warunków do egzekwowania przymusowego leczenia. Lekarzy można wykształcić, szpitale wybudować, ustawy zmienić. Wymaga to jednak poważnych nakładów finansowych. Środki na nie powinny pochodzić ze sprzedaży alkoholu. Krótko mówiąc: jeszcze jedna podwyżka cen, tak skalkulowana, aby dostarczyła funduszy na to olbrzymie przedsięwzięcie. Jeszcze jedna, ale ostatnia. I koniec z podwyżkami, bo ten środek nie działa, odbija się tylko niekorzystnie na sytuacji materialnej rodzin ludzi popijających w nadmiarze.

Ważną rzeczą w zwalczaniu alkoholizmu jest również sensowna propaganda. Nie ględzenie w stylu „alkohol to zguba ludzkości", ale walka o zmianę obyczaju picia. Finowie też piją dużo, może nawet więcej niż my. I Włosi, i Francuzi. Ale w tych krajach nie widzi się leżących na ulicy mężczyn, czy obwymiotowanych ławek parkowych. Po prostu nie wypada pić do utraty przytomności. Taki jest *ethos* pijacki: trzeba zachować zdolność samokontroli lub mieć „silną głowę". Tak zwany „leżak" to ćwierćmężczyzna. Nasz „ethos" polega na mitologii „silnej głowy", na złudzeniach, które rzeczywistość z łatwością rozwiewa.

ANDRZEJ TCHÓRZEWSKI
Fot. JÓZEF LIEBERSBACH

spięcia

Dręczy nas niepokój wynikający z niewiedzy: czy aby zadbano już o hodowle kuropatw, cietrzewi i bażantów, aby w odpowiednim czasie i właściwym osobom wypuścić ptactwo pod celowniki? A co z dzikami? Czy zgromadzono ich dostateczną ilość? Bo jeśli nie, to czas rozejrzeć się za taką pulą czarnej pasty, aby nią ucharakteryzować co najmniej trzy setki pospolitych świń.

☆

Próbne wstawienie drugich drzwi w niektórych gabinetach Urzędu Wojewódzkiego w Łomży nie przyniosło oczekiwanego rezultatu: Wiatr historii hula ciszej; lecz nadal się przez nie przeciska. Drzwi zdjęto i poddano zabiegom wygłuszającym, zgodnie ze smutnym wnioskiem, że samego wiatru wyciszyć się nie da, a nastawione uszy ciekawskich wszystkich jego podmuchów nie wyłapią.

☆

„Pies szczeka, a karawana jedzie dalej" — chciałoby się powiedzieć na temat wieści z Kolna: instruktorzy LOK-owskich kursów na prawa jazdy nie zmienili swego nastawienia wobec szkoleniowych pojazdów i nadal wożą nimi bliższe lub dalsze rodziny. Pani, którą poruszyło do głębi poprzednie spięcie z tego tematu, bynajmniej nie interesowała się kierunkiem jazdy karawany, lecz ubarwieniem sierści psa; wychodziła pewnie z założenia, iż może rzeczywiście karawana błądzi, ale psu nic do tego, więc najlepiej go ustrzelić.

☆

Łomżyński Oddział WSS „Społem" ma za minione pięć miesięcy najwyższe straty w województwie, kształtujące się na wysokości pięciu milionów złotych. Próbowaliśmy zdiagnozować to zjawisko. Wszystkie przesłanki kierowały naszą uwagę na przyrost ilościowy administracji w tej instytucji. Fakt ten, przynoszący kiepski wynik finansowy WSS-owi, ma jeszcze uboczne, społeczne skutki. Otóż te znudzone brakiem zajęć przerosty kadrowe wyspecjalizowały się w tropieniu samochodów dostawczych do sklepów. Z czasem tak w nich utrwaliło się wrażenie prawa pierwszeństwa wobec dostaw, że — wespół ze swoimi rodzinami i znajomymi — stworzyły coś na kształt gangu, prosperującego na bazie sieci telefonicznej. Kto by chciał sprawdzić prawdziwość naszych słów, niech spróbuje dodzwonić się do Oddziału WSS-u.

☆

Panika paliwowa opanowała wielu mieszkańców Łomży i województwa. Tankują do wszystkich karnistrów jawnie lub obracając kilkakrotnie z pełnym bakiem, którego zawartość pozostawiają w prywatnych zbiornikach. W kilku przypadkach są to zbiorniki plastykowe. Tylko patrzeć, jak się zaczną prywatne fajerwerki. Okazuje się, że w przypływie wyimaginowanego zagrożenia Polak gotów jest schronić się na szczycie czynnego wulkanu.

☆

Każde miasto ma swoich amatorów świeżego powietrza, czyli bankietowania pod chmurką. Nie ma dużego nieszczęścia, jeśli taki „bar" usytuuje się na obrzeżu miasta: gorzej, gdy leniwi piwosze i wielbiciele cienkusza ulokują się w śródmieściu — na oczach młodzieży i dzieci. Zwyczajów w „barach" podchmurkowych nie trzeba nikomu opisywać; stanowią one praktyczną szkołę życia dla małolatków, którym potem trudno wytłumaczyć, że ci panowie z butelkami przy ustach bawią się niepładnie, a efektem takich zabaw bywają różne przestępstwa. Prosimy Milicję Obywatelską o skierowanie reflektorów na „bar" obok sklepów ABC, zanim przeszkoli się tam cała młodzież miasta, zanim dojdzie do kolejnych włamań, a punktem orientacyjnym Łomży przestaną być „pierwsze" światła, na korzyść hałaśliwych trunkowców.

POLEMIKI

droga do naczelnika

W odpowiedzi na zamieszczoną w nr 12/81, notatkę pod tytułem „Droga do naczelnika" uprzejmie informuję, że fakty poruszone w notatce są tak samo prawdziwe, jak nazwisko naczelnika gminy w Wiźnie.

Redaktor Stanisław Zieliński zbierając dane poszedł po najmniejszej linii oporu. Wypowiedzi niektórych mieszkańców Wizny nagrał włączony magnetofon, ale mojego nazwiska, które jest napisane drukowanymi literami na drzwiach, magnetofon nie nagrał i pan redaktor go również nie zapisał, bo po co pisać, kiedy posiada się urządzenia techniczne. Następna nieścisłość, wprawdzie mało ważna, to to, że pan Jan Galiński nie jest ani chłopem ani robotnikiem (informację, że nie jest chłopem zawiera sama notatka).

Budowa drogi dojazdowej była omawiana na zebraniu zainteresowanych w dniu 14.11.1980 r. Na pisemne zaproszenie 26 osób na zebranie przybyło tylko 13. Po ustaleniu sposobu naprawy drogi zainteresowani przyjęli na siebie obowiązek dowiezienia ok. 100 m sześc. piasku, na ogólną potrzebę dowiezienia ok. 400 m sześc. Określono termin wykonania prac od 17 do 20 listopada 1980 r. W dzień przed planowanym rozpoczęciem prac zainteresowani zrezygnowali z ich wykonania. W następnym terminie również do ok. godz. 9.00 zgodnie z ustną umową rolnicy nie zgłosili się.

Budowa i remonty dróg lokalnych są możliwe tylko przy udziale czynu społecznego, ze względu na małą ilość środków finansowych. W ciągu ostatnich kilku lat na terenie gminy w czynie społecznym wybudowano i wyremontowano kilkanaście kilometrów dróg, ale tylko tam, gdzie mieszkańcy deklarowali i wykonali przyjęte zadania.

Ciekawy jestem osobiście, uważam że innych też to zainteresuje, jak pan redaktor na drodze o szerokości nieco ponad 3 m rozplanowałby potrzebne *„solidne głębokie rowy, które odprowadziłyby wody z pól do rzeki i mocna twarda nawierzchnia"*. W terenie sytuacja okazałaby się bardziej urozmaicona, ponieważ droga ma duży spadek podłużny i poprzeczny.

Przy każdej budowie lub poważniejszym remoncie, gdy szerokość drogi jest mniejsza niż w dokumentach geodezyjnych, musi być ona wznowiona na gruncie przez uprawnionego geodetę. Minimalnie wtajemniczeni w pracę geodezyjną wiedzą, że nie można tego wykonać pod śniegiem, wodą i w zamarzniętym gruncie.

Budowa omawianej drogi jest problemem, ale czy nie większym problemem w tym czasie był całkowity brak dojazdu do takich wsi jak Srebrowo, Mrówki, Nieławice, Kokoszki, Bożejewo Nowe, Taraskowo i Wierciszewo, gdzie mieszka ok. 30 proc. ludności gminy.

Rok 1980 był bardzo obfity w opady i większość dróg gruntowych uległa zniszczeniu. Przy obecnym stanie środków finansowych, sprzętu technicznego do budowy dróg nie jesteśmy w stanie w krótkim czasie przywrócić do prawidłowego stanu zniszczonych nawierzchni. Roboty te są i będą wykonywane w ciągu najbliższych kilku miesięcy.

Używanie sprzętu SKR za państwowe pieniądze do robót prywatnych i przydział ciągników i maszyn rolniczych rolnikom indywidualnym jest do sprawdzenia w dokumentach Gminnego Związku Kółek Rolniczych. Sprawdzenie tego wymaga tylko niewiele więcej niż umiejętność czytania.

Ze względu na niski przydział i niski spływ środków do produkcji rolnej, na które zapotrzebowanie pokrywane jest w kilku procentach, rozdział ich dokonywany jest w bardzo ścisłej współpracy z samorządem rolniczym.

mgr inż. EUGENIUSZ TYSZKA
Naczelnik Gminy w Wiźnie

Odnoszę wrażenie, że otrzymałem list nie od naczelnika, a jakiegoś pieniacza, który zamiast rzetelnej odpowiedzi i wyjaśnienia, jeśli już nie podania dokładnego terminu załatwienia sprawy, w pierwszej kolejności obraża się za to, że zniekształciłem jego nazwisko. Już to sugeruje, że o własną reputację dba bardziej niż o rolników. Poza tym wyjaśniam, że chłopo-robotnik, to nie to samo, co chłop, i nie to samo, co robotnik. Dziwię się też opinii, iż człowiek, który sam wyrzuca na ów kawałek drogi co może: żużel, piach; mając możliwości wynajęcia koparki nie stawiłby się w umówionym miejscu. On przybyłby o północy, z wdzięczności kłaniając się za wynajęcie sprzętu w pas, z odległości co najmniej kilkudziesięciu metrów.

To prawda — ważniejsze są sprawy; ot, chociażby dojazdy do wielu innych wsi. Czy można jednak, w pogoni za ważnymi problemami, zapominać o tych najmniejszych, pojedynczych, jednostkowych?

Ma Pan żal, że piszę w notatce o tym, co mówią rolnicy o Urzędzie Gminy w Wiźnie, w szczególności — o swoim naczelniku. Zapewniam, że będą szafować przychylniejszymi opiniami, jeśli wykaże Pan więcej dobrej woli dogadania się z nimi, co do rozwiązania ich problemów. Nie każę Panu być chłopem, ale dobrze by było, gdyby czasem, dla zrozumienia jego nawet zwyczajnych, codziennych spraw, naczelnik przynajmniej przez krótki okres czasu zechciał poczuć się chłopem. Wówczas przekonałby się, że i drogi — budowane w czynie społecznym — którymi wręcz Pan chełpi się w swoim liście, również nie satysfakcjonują rolników. Budowane są zbyt szybko i zbyt szybko się psują, jakby bardziej dbano o to, by wykazać się zrobionymi czynami kilometrami dróg, niż ich jakością.

Przyznaję; drogi, to pięta Achillesa w rozwoju niejednej gminy, ale jeśli już się je robi, trzeba do tego podchodzić po gospodarsku. W przeciwnym wypadku nie nadążymy budować. — Zanim zostaną wzniesione, będą już wymagały remontu. W Wiźnie taka sytuacja stała się już, niestety, prawie regułą.

STANISŁAW ZIELIŃSKI

jedziemy!

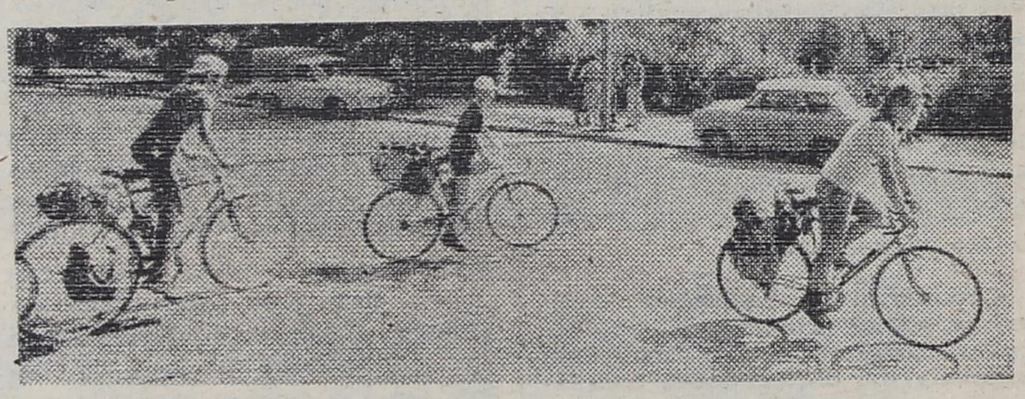

Z okazji pięćdziesiątego numeru „Kontaktów" spod budynku redakcji wyruszył I Rowerowy Rajd. Grupę kolarzy prowdził Jerzy Tarczewski, nauczyciel Szkoły Podstawowej nr 4 w Łomży. Kierunek — Głębocz. Wieczorne spotkanie z mieszkańcami wsi, ze względu na sianokosy, nie dochodzi do skutku. Kolacja w towarzystwie bzykających komarów smakuje wybornie. Jedynaczka rajdu, Małgosia przyrządza wszystkim doskonałą herbatę, a chłopcy — jak rozbrykane źrebaki — hasają rowerami po okolicznych łąkach.

Następny etap — Tabądź. Podczas rajdu uczestnicy poznają historię miast i wsi, przez które przejeżdżają i zdobywają potrzebne im punkty na poszczególne kolory Kolarskiej Odznaki Turystycznej.

Z Tabądzia rajd prowadzi do Zambrowa. Odcinek najtrudniejszy, Zambrów — Łomża, zostaje pokonany w niespełna cztery godziny.

Duszą naszej imprezy i najwytrwalszym jej uczestnikiem był Bogdan Bochiński. Gratulujemy, panie Bogdanie, skuteczności i młodzieńczej kondycji.

Zdjęcia i tekst:
GABOR LÖRINCZY

polskie zakręty

czerwiec 1956

„W dniu 28 bm. doszło do poważnych zaburzeń na terenie miasta Poznania. Od pewnego czasu agentura imperialistyczna i reakcyjne podziemie starały się wykorzystać trudności ekonomiczne i bolączki w niektórych zakładach Poznania dla sprowokowania wystąpień przeciwko władzy ludowej. Wróg nie przypadkowo obrał sobie jako teren prowokacji właśnie Poznań w chwili, gdy odbywają się tam Międzynarodowe Targi. Chodziło o to, aby rzucić cień na dobre imię Polski Ludowej, utrudnić rozwijanie naszej pokojowej współpracy międzynarodowej.

W dniu 28 bm. agentom wroga udało się sprowokować zamieszki uliczne. Doszło do napadów na niektóre gmachy publiczne, co pociągnęło za sobą ofiary w ludziach.

W oparciu o świadomą część klasy robotniczej władze opanowały sytuację i przywróciły spokój w mieście [...].

Sprawcy rozruchów, które miały charakter szeroko zakrojonej i starannie przygotowanej akcji prowokacyjno-dywersyjnej zostaną ukarani z całą surowością prawa [...]".

Komunikat PAP o wypadkach w Poznaniu, 29.06.1956 r.

„W całym ogromnym kompleksie tragedii poznańskiej, proporcje udziału agenta i prowokatora muszą być wyznaczone bardzo precyzyjnie. Nie mogą przesłonić ani tego, co było owczym pędem tłumu, demagogią starych chadeków, chmurnym i durnym „romantyzmem" młodzieży, czy wreszcie złodziejsko-bandycką akcją, ani też tego, co zaliczam do zakresu własnych naszych błędów, naszej odpowiedzialności, zarówno obywatelskiej jak partyjnej. Wiem — wróg żyje, wróg nie jest postacią bajeczną. Oto jego nienawiść znowu nasyciła się krwią. Ale wiedzmy i pamiętajmy: wróg zbroi się naszym błędem, naszą nieporadnością lub niewiedzą...

Ale powtarzam, nie znam jeszcze całej prawdy. Rola i ranga obu tych zjawisk są jeszcze w swych rozmiarach płynne, zmienne, niewymierne.

Równocześnie jednak, chcę wyjawić inną jeszcze prawdę, którą rozpoznaliśmy już dość chyba dokładnie. Będzie to jeden z głównych elementów całości — jeden z elementów najistotniejszych.

W liście do ZISPO mówią m.in. robotnicy Pafawagu: „Uważamy także, że rząd winien wyciągnąć surowe wnioski w stosunku do tych, którzy przez swój lekceważący i biurokratyczny stosunek do ludzi pracy naruszyli obowiązujące dekrety rządu i zalecenia partii.

Jest to stwierdzenie najbardziej kapitalnej wagi. Oto jeden z głównych dla mnie wniosków poznańskiej tragedii i główna gwarancja, że tragedia taka nigdy się już u nas nie powtórzy [...].

JERZY BROSZKIEWICZ — Poznań, 28 czerwca 1956 r. („Przegląd Kulturalny", R. V., nr 27 (219), 5.VII.1956).

„Poznański czwartek miał dwa nurty: nurt robotniczego rozgoryczenia i niezadowolenia oraz nurt wrogiego wystąpienia przeciwko władzy ludowej. Należy zatem odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób doszło do splecenia, do zazębienia się obu tych linii działania.

...Strajkowe wystąpienie robotników Poznania — i tej zasadniczej, bolesnej prawdy nie wolno maskować ani upiększać — było w niemałej mierze wywołane „biurokratycznymi wypaczeniami państwa proletariackiego", naszego państwa, naszej władzy [...].

„PIERSZE WNIOSKI" — („Trybuna Ludu" 6.VII.1956).

„VII Plenum KC zbiera się w trzy tygodnie po bolesnych wypadkach w Poznaniu. Oceniając przyczyny tych wypadków byłoby błędem skupić uwagę przede wszystkim na machinacjach prowokatorów i agentów imperializmu. Należy w pierwszym rzędzie szukać socjalnych korzeni tych wypadków, które stały się dla całej naszej partii sygnałem ostrzegawczym, świadczącym o poważnych zakłóceniach w stosunkach między partią a poszczególnymi oddziałami klasy robotniczej.

Od II Zjazdu PZPR w niełatwych warunkach ekonomicznych czynione były wzmożone wysiłki, aby polepszyć warunki bytowe ludności.

Osiągnięta poprawa tych warunków była w okresie planu 6-letniego wysoce niedostateczna. Wynikało to przede wszystkim z obiektywnej sytuacji naszej gospodarki, z trudności związanych z napiętą sytuacją międzynarodową, z konieczności szybkiej industrializacji w kraju zacofanym ekonomicznie i zrujnowanym przez wojnę. Trzeba też stwierdzić, że wysiłki podejmowane przez nas w celu podniesienia stopy życiowej mas były niedostateczne, nie dość energiczne i nie zawsze konsekwentne. Nie dały też one wyników, które masy pracujące odczuwałyby jako znaczną ulgę i istotną zmianę na lepsze. W rezultacie powstało w szerokich kołach społeczeństwa przekonanie, że partia i rząd nie zrobiły wszystkiego, co było w ich mocy, aby ulżyć robotnikom i pracownikom w ich trudnej sytuacji materialnej. Rodziło to nastroje niezadowolenia w masach robotniczych, które wiązały z zakończeniem planu 6-letniego poważne nadzieje poprawy warunków materialnych.

Zaszły również opóźnienia w likwidowaniu przez partię i rząd powstałych w poprzednim okresie wypaczeń i błędów w systemie zarządzania gospodarką narodową.

Biurokratyczne wypaczenia przyczyniły się do przewlekłego załatwiania bolączek mas pracujących, rodziły bezduszność w stosunku do ludzi, do ich często uzasadnianych postulatów. Ten stan rzeczy doprowadził do pewnej demobilizacji, a nawet zobojętnienia szeregu organizacji partyjnych i związkowych wobec bolączek robotników i pracowników. W dalszej konsekwencji doprowadziło to do odrywania się wielu organizacji partyjnych i związkowych od mas robotniczych, niekiedy zaś do rozpływania się organizacji partyjnych w masie robotniczej i zatracaniu przez nie funkcji awangardy.

Wszystkie te zjawiska znalazły swe odbicie w wypadkach poznańskich. Z analizy tych wypadków, ich tła i przebiegu wynika, że niemałą rolę odegrała bezduszność i biurokratyzm władz zarówno centralnych jak i miejscowych. Nie przemyślane posunięcia w ostatnich miesiącach pogorszyły warunki płacy niektórych grup robotników ZISPO, przy czym stwierdzić należy, że stało się to wbrew intencjom partii i rządu.

Mówiłem poprzednio, jakie było tło wypadków poznańskich. Na tym tle rozpatrzyć należy te okoliczności, które sprawiły, że właśnie w obecnym etapie naszej walki o demokrację życia społecznego, o powrót do norm leninowskich, udało się warchołom i demagogom spowodować strajk i manifestację w Poznaniu.

Rozpatrzyć należy również, w jaki sposób kontrrewolucyjnemu podziemiu udało się doprowadzić do krwawej prowokacji i zamieszek na ulicach miasta.

Zdrowa i zbawienna dla sprawy budowy socjalizmu dyskusja tocząca się w partii i w całym kraju, dyskusja tocząca się wokół spraw związanych z przezwyciężeniem kultu jednostki i wokół ciężkich błędów Stalina i ich następstw ma również swoje powikłania.

Wstrząs, jakim było dla partii i całego społeczeństwa ujawnienie gorzkiej prawdy o zgubnych następstwach kultu jednostki, został w szczególny sposób pogłębiony przez stwierdzenie bolesnej prawdy o prowokacji wobec KKP, o tragicznym losie jej przywódców i jej czołowego aktywu.

Bolesna prawda o ciemnych stronach minionej epoki spowodowała wśród wielu towarzyszy i w masach bezpartyjnych gorycz, pewną nieufność, zatracenie proporcji w ocenie zdobyczy i błędów tej epoki.

Wypadki w Poznaniu wykazały, że w ostatnich miesiącach w wielu organizacjach partyjnych i w organach powołanych do czuwania nad bezpieczeństwem państwa ludowego nastąpiło osłabienie czujności rewolucyjnej i polityczna demobilizacja.

W Poznaniu organy powołane do obrony państwa ludowego nie miały dobrego rozeznania w sytuacji, nie umiały przewidzieć wypadków w okresie Międzynarodowych Targów, w okresie, który wymagał szczególnej troski ze strony tych organów, dały się zaskoczyć przez akcję wroga. Stanowi to dla nas poważny sygnał ostrzegawczy".

EDWARD OCHAB — Fragmenty referatu „O sytuacji politycznej i gospodarczej oraz węzłowych zadaniach partii", wygłoszonego w dniu 18 lipca na VII Plenum KC PZPR.

„13 lipca. W chwili obecnej aresztowanych jest trzysta kilkadziesiąt osób. Wszyscy za sankcją prokuratorską. Aresztowani przebywają w więzieniach poznańskich oraz w Rawiczu... Dotychczas nie stwierdzono działalności jakiejś organizacji spiskowej. Towarzysze z Bezpieczeństwa zwracają natomiast uwagę na konieczność ścisłego rozróżniania terminu „spisek" i „prowokacja". Jeżeli spisku prawdopodobnie nie było, to elementy prowokacji antypaństwowej niewątpliwie miały miejsce, narastały one jednak na fali żywiołowej manifestacji robotniczej. Również w trakcie zajść narastały elementy organizacji, jednostki łączyły się w grupy, grupy nawiązywały kontakty itd".

WIKTOR WOROSZYLSKI — „Powrót do kraju" (kartki z dziennika), „Nowa Kultura", R. VII., nr 31 (331), 29.VII. 1956.

„Na procesach poznańskich w pełni ujawniła się granica nieprzekraczalna między manifestacją robotniczą, za którą nikogo nie karano i nie pociągano do odpowiedzialności, a między zbrojnym wystąpieniem przeciw władzy ludowej, które jest karane i za które grozi surowa odpowiedzialność. Inna już sprawa, że forma protestu robotników poznańskich przeciw systemowi pomiatania nimi, przeciw zatwardziałemu wyrokowi kasty małych i dużych kacyków (protestu, z którym nie sposób doprawdy nie solidaryzować się najserdeczniej) — nieuchronnie musi w naszych warunkach doprowadzić właśnie do zbrojnych awantur. Jest w tym jakaś tragiczna sprzeczność, lecz warunki historyczne nie są niestety sielanką. Robotnicy poznańscy... pragnęli swoim wystąpieniem doprowadzić do poprawy władzy ludowej... Tymczasem, wbrew woli podstawowej większości robotników, manifestacja stała się bazą do zbrojnych wystąpień przeciw władzy ludowej. I to nie przeciw dotychczasowym formom stalinowskiej autokracji, nie przeciw wypaczeniu tego czy innego założenia, lecz przeciw władzy ludowej w ogóle [...]".

WIESŁAW GÓRNICKI — „Patrząc na ręce Temidy" (Świat, R. VI., nr 42 (273) 14.X.1956 r.).

„Robotnicy Poznania nie protestowali przeciwko Polsce Ludowej, przeciwko socjalizmowi, kiedy wyszli na ulicę miasta. Protestowali oni przeciwko złu, jakie szeroko rozkrzewiło się w naszym ustroju społecznym i które ich również boleśnie dotknęło, przeciwko wypaczeniom podstawowych zasad socjalizmu, który jest ich ideą.

Wielką naiwnością polityczną była nieudolna próba przedstawienia bolesnej tragedii poznańskiej jako dzieła agentów imperialistycznych i prowokatorów. Agenci i prowokatorzy zawsze i wszędzie mogą być i działać. Ale nigdy i nigdzie nie mogą decydować o postawie klasy robotniczej. Gdyby agenci, prowokatorzy mogli natchnąć klasę robotniczą do działania, to wrogowie Polski Ludowej, wrogowie socjalizmu mieliby bardzo ułatwione zadania, mogliby łatwo osiągnąć swe cele. Rzecz w tym, że tak nie jest. Był w Polsce czas, kiedy rzeczywiście siły wrogie socjalizmowi, często kierowane przez ośrodki zagraniczne wysługujące się niepolskim interesom, miały szeroko rozbudowaną podziemną sieć organizacyjną. Był taki surowy czas, którego opory po dzień dzisiejszy nie znikły jeszcze całkowicie z uczuć i serc ludzkich. To było w pierwszych latach budowy Polski Ludowej. Ale w tych trudnych dla władzy ludowej czasach żadna agentura i żadna organizacja podziemna, mimo dogodnych dla niej warunków, nie potrafiła i nie mogła dokonać wyłomu w szeregach klasy robotniczej, nie była zdolna do politycznego opanowania żadnego oddziału klasy robotniczej.

Przyczyny tragedii poznańskiej i głębokiego niezadowolenia całej klasy robotniczej tkwią u nas, w kierownictwie partii, w rządzie. Materiał palny zbierał się całe lata. Sześcioletni plan gospodarczy reklamowany w przeszłości z wielkim rozmachem jako nowy etap wysokiego wzrostu stopy życiowej zawiódł nadzieje szerokich mas pracujących. Żonglerka cyframi, która wykazywała 27-procentową zwyżkę płac realnych w sześciolatce, nie udała się. Rozdrażniła tylko bardziej ludzi. Trzeba było wycofać się z pozycji zajętej przez kiepskich statystów.

XX Zjazd KPZR stał się bodźcem do zwrotu w życiu politycznym kraju. Ożywczy, zdrowy pęd poruszył masy partyjne, klasę robotniczą, całe społeczeństwo. Milczące, zniewolone umysły zaczęły otrząsać się z trującego czasu zakłamania, fałszu i dwulicowości. Jestem przekonany, że robotnicy poznańscy nie wystąpiliby do strajku, nie wyszliby demonstracyjnie na ulicę, nie znaleźliby się wśród nich i tacy, którzy chwycili za broń, nie polałaby się tam nasza, bratnia, robotnicza krew, gdyby partia, tj. kierownictwo partii, przyszło do nich z całą prawdą".

WŁADYSŁAW GOMUŁKA — „Nauki Poznania" — (fragment przemówienia wygłoszonego na VII Plenum KC PZPR dnia 20 października 1956 r.).

Powyższe fragmenty artykułów, przemówień i komentarzy z prasy krajowej ilustrują rozwój oficjalnych poglądów na poznański Czerwiec 1956 roku i zmiany w nich zachodzące w przeciągu następnego roku. Przypomnienie tych materiałów powinno być traktowane jako drobny przyczynek do historii interpretacji przyczyn „czarnego czwartku" w Poznaniu, mających również swoje szersze odniesienia. (C.d.n.).

Wybrał JULIUSZ ŚWIREDO

dokumenty

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

27 maja w kolneńskim Domu Kultury odbyła się, zapowiadana na łamach pisma, publiczna dyskusja Czytelników i dziennikarzy „Kontaktów" z władzami miasta. Władze reprezentowali: naczelnik miasta i gminy Kolno, Kazimierz Lemański; przewodniczący Miejsko-Gminnej Rady Narodowej, Ireneusz Skrodzki oraz I sekretarz Miejsko-Gminnego Komitetu PZPR, Jan Gawrych. W miarę możliwości i kompetencji sekundowali im w tym słownym pojedynku: Franciszek Ciszewski, dyrektor Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej; por. Czesław Kulas, komendant posterunku MO, Bogdan Owczarczyk; prezes Spółdzielni Mieszkaniowej, Mieczysław Rzepicki; kierownik posterunku monterskiego Rejonu Energetycznego oraz inż. Stanisław Szostkiewicz, inspektor ds. budownictwa UMiG. W imieniu Czytelników pytania zadawali i prowadzili dyskusję Danuta i Aleksander Wroniszewcy.

„KONTAKTY": — czy odnowa dotarła już do Kolna, a jeżeli tak — to w czym się przejawiła?

KAZIMIERZ LEMAŃSKI: — Można na to pytanie odpowiedzieć zwięźle lub bardzo szeroko...

GŁOSY Z SALI: Szeroko, szeroko prosimy.

K. LEMAŃSKI: — Pojęcie to jest bardzo subiektywne. Uważam, że odnowa do Kolna dotarła, chociaż, podobnie jak wszędzie, napotyka jeszcze na pewne przeszkody. Konkretyzując, charakteryzuje się ona większą aktywnością społeczeństwa, dużą ilością zebrań i spotkań miejscowych władz z załogami zakładów pracy. Muszę przyznać, że pytania są często kontrowersyjne, czasami nawet ostre. Najczęściej uważa się, że miernikiem odnowy są zmiany we władzach. Dokonały się takie i u nas. zmienił się np. zastępca naczelnika: na miejsce Stanisława Kmiecia przyszedł inż. Henryk Duda. Od dwóch tygodni mamy też nowego dyrektora „Uchwytów". Inne zmiany personalne są wam na ogół znane.

JAN GAWRYCH: — Część opinii publicznej twierdzi, że odnowa do nas nie dotarła, ponieważ przed sklepami nadal gromadzą się ogromne kolejki, towary sprzedaje się spod lady i w ogóle perspektywy rozwoju miasta nie zapowiadają się najlepiej. Jeżeli tylko tak będziemy rozumieli odnowę, to jestem sceptykiem.

„KONTAKTY": — Mieszkańców Kolna interesuje, jakie są oficjalne powody usunięcia Stanisława Kmiecia ze stanowiska zastępcy naczelnika UMiG oraz wykluczenia go z grona członków KMG PZPR i Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej. Z tego co wiadomo wynika, że fałszował on spisy rolne i, sprzedając w sposób nieprawidłowy ziemię z PFZ-tu, naraził skarb państwa na straty. Czy wobec takich zarzutów właściwe było „przesuwanie" go do wydziału rolnictwa?

K. LEMAŃSKI: — Dochodzenie prowadzone przez Prokuraturę Rejonową w Łomży nie jest jeszcze zakończone. W tej chwili trudno więc mówić o jakiejś winie; o tym, czy było to przestępstwo, czy tylko zwykłe niedopatrzenie służbowe. Nie ma nawet pewności czy sprawa w ogóle trafi do sądu. Główne wątpliwości dotyczą wyceny gospodarstwa rolnika Karwowskiego. Pierwszy szacunek dokonany przez PZU, przy przekazywaniu gospodarstwa na skarb państwa, wynosił milion złotych. Drugi, sporządzony przy jego sprzedaży innemu użytkownikowi, był już o 300 czy 400 tysięcy niższy. S. Kmieć jakoś nie dopatrzył się tej różnicy, podpisał i teraz odpowiada za to. Trzy miesiące temu wojewoda odwołał go ze stanowiska. Ja, po konsultacji z wicewojewodą Redlińskim, postanowiłem zatrudnić go w służbie rolnej jako instruktora. Jest technikiem rolnikiem, a więc pracuje zgodnie ze swymi kwalifikacjami.

„KONTAKTY": — Czy był to jedyny zarzut postawiony Stanisławowi Kmieciowi?

K.L.: — Jedyny podstawowy.

Z niemożnością w herbie

„KONTAKTY": — Ludzie mówią, że otrzymał pan dwadzieścia tysięcy na podwyżki dla służby rolnej, a skorzystali z nich jedynie przyjaciele i pańska żona.

K.L.: — Kwoty otrzymane na awanse były dwojakie: inne dla administracji, inne dla służby rolnej. Ponieważ administracji przyznano większą sumę, podwyżki dostali prawie wszyscy, w tym i moja żona. Natomiast na służbę rolną wypadało zaledwie po sto złotych na osobę, postanowiłem więc wyróżnić tylko czterech pracowników. Niektórych zabolało to, że znalazł się wśród nich także były mój zastępca, Stanisław Kmieć. Komentowano to tak, że owe 500 zł należało by przyznać komu innemu.

Z SALI: — Czy to w porządku, żeby nagradzać człowieka, który niedawno został ukarany usunięciem ze stanowiska?

K.L.: — To nie był przecież awans, bo opuszczając poprzednie stanowisko sporo stracił finansowo. W ten sposób trochę mu się wyrównało Nie można zawczasu karać człowieka, który przepracował 33 lata i jeszcze nie wiadomo, czy mu się cokolwiek udowodni. Takie jest moje, i nie tylko moje zdanie.

„KONTAKTY": — Jak to jest możliwe, żeby w momencie, kiedy nareszcie przywraca się radom narodowym należną im rangę, w Kolnie przewodniczącym Rady Narodowej uczyniono skompromitowanego w swej dotychczasowej działalności, byłego sekretarza KMG PZPR, Ireneusza Skrodzkiego?

IRENEUSZ SKRODZKI: — Obawiam się, że moje wyjaśnienia nie zabrzmią wiarygodnie. Powiem więc tylko, że już niedługo oficjalne źródła rozjaśnią nieco tę sprawę. I jeszcze jedno. Chciałbym, żeby wszyscy wiedzieli, że o zwolnienie mnie z funkcji I sekretarza KMG w Kolnie poprosiłem sam, 24 października. W styczniu chciałem zrezygnować również ze stanowiska przewodniczącego Miejsko-Gminnej Rady Narodowej. Radni zadecydowali inaczej, więc pozostałem. W każdej chwili gotów jestem złożyć mandat.

Z SALI: — Z dotychczasowych wypowiedzi wynikałoby, że weryfikacja kadry kierowniczej w Kolnie przebiega raczej dosyć przypadkowo.

K.L.: — W tej chwili nikt się nie bije o stanowiska dyrektorów. Na wolne miejsca trzeba ściągać ludzi z Łomży. Teraz też wakuje w mleczarni etat wiceprezesa ds. technicznych. Nie wiem, czy jest aż tak mądre, żeby weryfikować kadry, jeśli ich brakuje!

J.G.: — Ocena ludzi; ocena, a niekoniecznie weryfikacja, będzie po konferencji miejsko-gminnej. Wcześniej musi się odbyć w miejscach pracy.

„KONTAKTY": — Dlaczego UMiG nie interesuje się w wystarczającym stopniu sprawą porzucanych gospodarstw rolnych? Czyżby dlatego, że naczelnik jest nazbyt pochłonięty budową własnej fermy kurzej w Ptakach?

K.L.: — Zdarzają się wprawdzie wypadki niepełnego wykorzystania gruntów rolnych, ale wynika to z tego, że obecnie własność ziemska jest nienaruszalna i urząd nic tu zdziałać nie może. To wywalczyła „Solidarność". W okolicach Kolna takich przypadków jest niewiele. Część nieużytkowanych gruntów zagospodarowaliśmy zresztą, przeznaczając je na działki, m.in. dla pracowników służby zdrowia i „Uchwytów". A wracając do tej „mojej" inwestycji. Przede wszystkim w Ptakach nie ma żadnej kurzej fermy. Są natomiast w Wincencie, Borkowie i w Ważkach. Prawdą jest natomiast, że członkowie tego trzeciego zespołu to moi krewni i że były już zgłaszane w tej sprawie zastrzeżenia. W sierpniu czy październiku interesowała się tą sprawą WKKP. Prawdą jest również, że pomagałem im trochę więcej, niż innym zespołom. Ale to jest chyba zrozumiałe. Mija się natomiast z prawdą twierdzenie, jakobym tę fermę budował dla siebie. Nie posiadam ziemi, pracuję na państwowej posadzie, a więc nie mam prawa być członkiem zespołu specjalistycznego. Ponadto musiałbym wnosić pół miliona wkładu własnego, bez żadnej gwarancji udziału w dochodach. Kto by ponosił takie ryzyko...

„KONTAKTY": — Dlaczego zdarza się, że posiadający gospodarstwa rolne pracują na państwowych gospodarstwach, a pozbawieni możliwości utrzymania się z uprawy ziemi, nie mają niejednokrotnie szans na znalezienie pracy w Kolnie?

K.L.: — Trudno odpowiedzieć konkretnie, bo pytanie nie zawiera personaliów. Na pewno nie ma takich ludzi na eksponowanych stanowiskach — jest natomiast sporo tzw. chłopo-robotników. Stan ten nie jest prawnie zabroniony. A z zatrudnieniem w Kolnie mamy rzeczywiście kłopoty. Szczególnie nie ma co robić z pracownikami umysłowymi.

„KONTAKTY": — Jaka w takim razie będzie sytuacja Kolna w okresie spodziewanych przemieszczeń pracowników?

K.L.: — Krąży plotka, że zamkniemy zakład dziewiarski, „Misia" czy inne. Proszę pamiętać, że zamknięcie zakładu nie jest prostą sprawą. W Kolnie nie dojdzie chyba do żadnych przemieszczeń czy redukcji. Wprost przeciwnie. Myślimy nad tym, żeby otworzyć nowy zakład produkcyjny. Wojewoda przyrzekł nam, że będzie się starał o rozbudowę zakładu dziewiarskiego. Jeśli chodzi o administrację państwową, to będzie ona uszczuplona na szczeblu centralnym i wojewódzkim. Do jednostek szczebla podstawowego, czyli miast i gmin prawdopodobnie wcale nie dotrze. Być może tutaj zatrudnienie nawet lekko wzrośnie.

„KONTAKTY": — Dlaczego nie przeprowadza się scaleń gruntów budowlanych w taki sposób, żeby można było je potem podzielić sensownie? Dlaczego są takie trudności w otrzymywaniu działek rzemieślniczych?

K.L.: — Do tej pory nikt nie zgłosił do mnie takiego problemu. Chciałbym przypomnieć, że nawet w tej chwili jest na osiedlu Tysiąclecia sześć niewykorzystanych działek. Ogólnie rzecz biorąc z normalnymi działkami nie mamy problemu. Są natomiast kłopoty z działkami rzemieślniczymi, szczególnie dla mechaników. Nie tylko dlatego, że żądają oni dużych, dwudziestopięcioarowych placów, ale i z tego powodu, że ja nie mogę się zgodzić na umieszczenie zakładu mechanicznego w centrum miasta, a urząd nie dysponuje działkami poza miastem. Pozostaje więc kupowanie od prywatnych właścicieli.

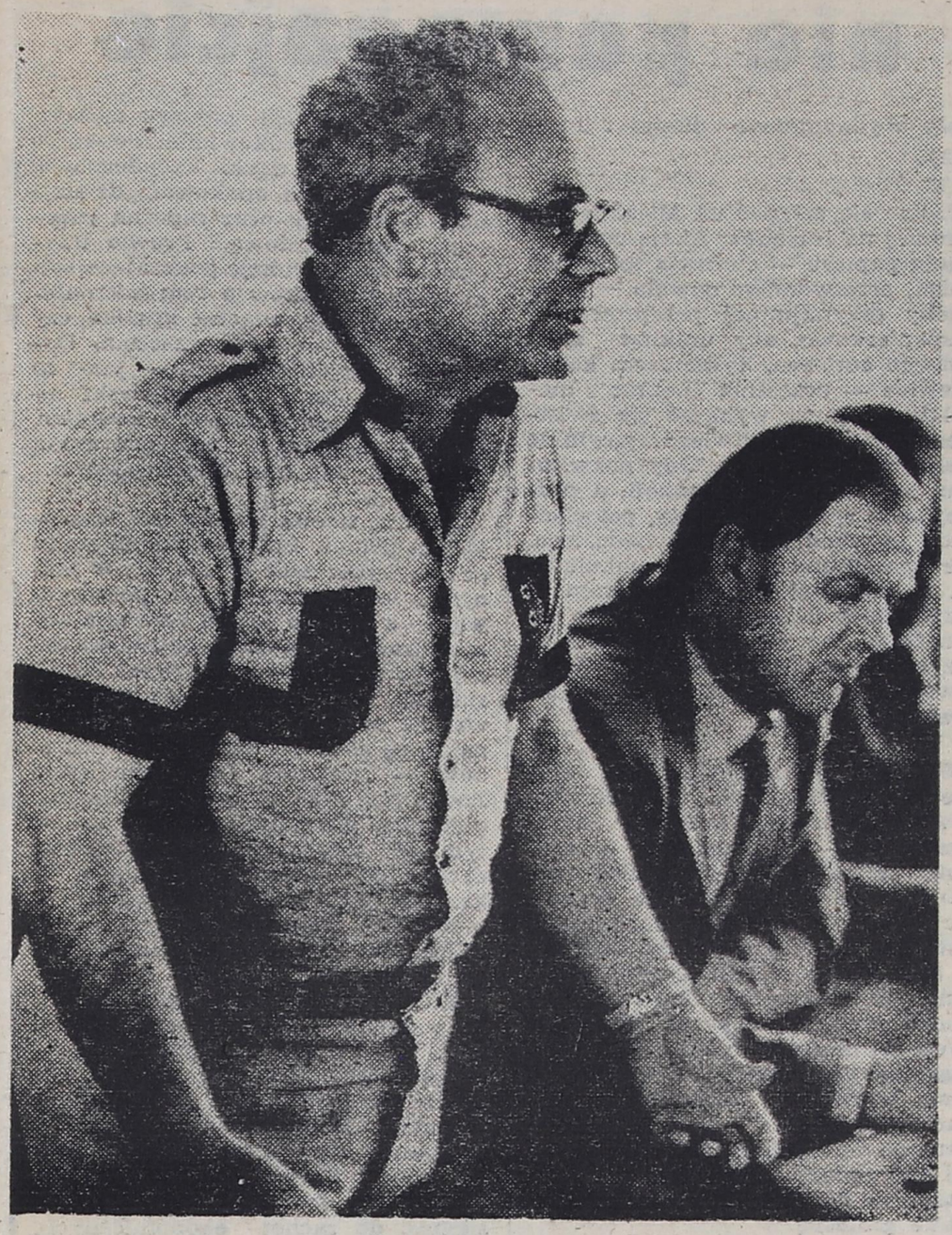

„KONTAKTY": — Można jeszcze znaleźć coś, co trudniej dzielić niż działki. Kolnianie denerwują się, że mimo zwiększonych ponoć dostaw wędlin i mięsa, kolejki przed sklepami nie zmniejszyły się i nie można zrealizować wszystkich kartek. Nieprawidłowa jest również struktura dostaw na poszczególne punkty.

K.L.: — Mimo zaproszenia, nasi handlowcy — dyrektor WSS-u i prezesi GS-u nie przyszli na to spotkanie. Daje mi to wiele do myślenia. Ponieważ ja nie potrafię udzielić wyczerpujących informacji i bronić handlu, ograniczę się jedynie do przyrzeczenia, że poruszę tę sprawę przy najbliższej okazji.

Z SALI: — Panie naczelniku, w kwietniu były przecież prowadzone rozmowy z dyrektorem WSS-u, a mimo to nic się na lepsze nie zmieniło. Pan dyrektor nie zainteresował się ani sprawniejszym rozdziałem mięsa, ani przetrzymywaniem lepszych gatunków wędlin i mięsa na zapleczu. Ludzie sami muszą tam wchodzić i wyciągać ukrywane mięso. Po co te historie?

K.L.: — Tak, już niejednokrotnie rozmawiałem z dyrektorem na ten temat. Ale widocznie jeszcze za mało dyskutowałem. Tylko tyle mogę wam dziś powiedzieć.

Z SALI: — Należy też usprawnić sprzedaż detergentów i szamponów. Proszek „Cypisek" można by sprzedawać za okazaniem książeczki zdrowia, a niekoniecznie samego dziecka. Przecież to jest wariactwo stać po kilka godzin w tym tłoku i to jeszcze bez pewności, że dojdzie się do lady, zanim wszystko zostanie wyprzedane.

Z SALI: — Czy nie można byłoby zlikwidować sprzedaży alkoholu w niedziele?

K.L.: — Dzisiejsze forum nie ma kompetencji do podjęcia takiej decyzji. Trzeba byłoby przedstawić ten postulat na sesji rady narodowej, bo zdania mogą być podzielone. Ja jestem zdecydowanie za tym, żeby zrobić niedzielę dniem trzeźwości.

MIECZYSŁAW KAMIŃSKI: — Właśnie, a propos picia i stosunku do tego problemu. Sprawa lachowskiego baru. Toczy się już kilka lat: siedem a może i więcej. Dlaczego tak długo? Najpierw był to bar państwowy. Już wtedy walczyło się o to, żeby go zlikwidować. Wywalczyło, ale nie na długo. Na pół roku, może na rok. Potem w innym miejscu, w innym lokalu powstał nowy. Na zasadach ajencji. Teraz nie ma już silnych na to, żeby go zlikwidować, chociaż nie chce go nikt poza małą grupką nałogowych pijaków, którzy wolą przepić trzy tysiące złotych zarobione w pegeerze niż oddać je żonie i wychować za nie ośmioro dzieci. Jest także sporo zamiejscowych, którzy przyjeżdżają do Lachowa raz na tydzień, żeby wychylić sobie piwo. A teraz wracam do pytania: dlaczego nie można go zlikwidować? Ano dlatego, że pani Nurczykowa, która w nim sprzedaje, jest jakąś tam kuzynką pana prezesa GS-u. Prezes mówi: „Polecę ze stanowiska, a bar w Lachowie zostanie". To jest już dwoje ludzi. Naczelnik jest trzecią osobą, która popiera tę sprawę. Przepraszam pana, że tak mówię, ale przecież zapewnił pan Koło Gospodyń Wiejskich, że bar zostanie zlikwidowany z końcem marca. Na zebraniu „Solidarności" z kolei oświadczył pan stanowczo, że sprawa będzie załatwiona z dniem 30 kwietnia. Pytałem wtedy, bo nie wierzyłem: „Panie naczelniku, nie trzeba będzie do pana jeszcze pisać, przychodzić? Na pewno po tym terminie nie będzie sprawy?" Tymczasem co się dzieje? Były zakazy picia w niektóre dni: podczas pogotowia strajkowego, na pierwszego i trzeciego maja i wiele innych, kiedy nie piło się w całym kraju, a w Lachowie „skolko ugodno". Jeżeli ktoś nie mógł dostać piwa w Kolnie, jechał do Lachowa. Piwo to jeszcze nie wszystko. Wiem, chociaż sam nie byłem tego świadkiem, że w naszym barze sprzedaje się także wódkę. Ale tylko takim, którzy nie napiszą oświadczenia, że kupowali po 400 czy 450 złotych za pół litra.

Jeszcze jedna sprawa. Nikt w barze lachowskim nie dostanie książki wniosków, skarg i zażaleń. Zaszedłem tam dzisiaj żeby kupić piwo. „Pan piwa nie dostanie, bo pan jest z »Solidarności«". — Ależ proszę pani, ja jestem takim samym obywatelem jak każdy inny. „Ale pan nie dostanie, bo ja tego nie chcę. A poza tym nie sprzedaję piwa na wynos". Rzeczywiście, wisi karteczka. — A czym to jest podyktowane? — pytam. „Bo nam się tak chce". — Proszę książkę zażaleń. „Nie, pan jej nigdy nie dostał i nie dostanie. I nikt inny". Tłumaczę, że tak nie można, a ona: „Pan ma szczęście, że nie ma mojego męża. Mój mąż był wiele lat w milicji. Jakby przyjechał, to by pan tak z tego baru lądował... No już, wynoś się pan. Nie denerwuj mnie!". Wyszedłem. Widzę, idzie kolega „„solidarnościowiec" — kup mi trzy piwa. Dałem mu pięćdziesiąt złotych. Mam na to świadków. „Czemu nie". Poleciał, kupił, przynosi. — Ile to piwo kosztuje? Od dłuższego czasu sprzedaje się je w barze tylko po dwanaście złotych. Nie wiem, skąd pani Nurczykowa bierze „Specjal". Bo tylko za „Specjal" płaci się po dwanaście złotych. Piwo sprzedawane w Lachowie na pewno jest tańsze, ale na żadnej butelce nie ma nalepki. Tylko na wystawie stoją takie dwie, ale nie na sprzedaż. Wróciłem i mówię: — Proszę pani, to nie jest „Specjal". „A ja mówię, że jest". — Kiedy pani go dostała? „Wczoraj wieczorem". — Może mi pani pokazać fakturę? „Pan nie jest od tego. Od tego są władze. Ja mam tutaj kontrole co tydzień". Tylko ja się pytam, co te kontrole tam robią?! Więc jeszcze raz panie naczelniku, jaki to będzie termin? Ale ostateczny.

K.L.: — Chciałem powiedzieć, że pan Kamiński przedstawił nam tu wiele ważnych faktów, nie wszystkie jednak w sposób uczciwy. Nie zauważył na przykład, że decyzję o likwidacji baru podjęliśmy znacznie wcześniej. Nasza, a konkretnie moja decyzja, została uchylona, ponieważ Urząd Wojewódzki dopatrzył się jakichś kruczków prawnych. W związku z tym wydałem, w uzgodnieniu z prezesem Kalenko, drugą. Niestety, bar nie został zlikwidowany. Ostatnia rozmowa, już w komitecie, miała taki przebieg, jak przedstawił pan Kamiński: „Proszę mnie nawet zdjąć z prezesa, a ja baru i tak nie zlikwiduję". W związku z tą sytuacją napisałem pismo do prezesa WZSR-u. Mieli rozmawiać z „Solidarnością", prosić o jakąś prolongatę. Nie wiem dokładnie, jak ta sprawa stoi w tej chwili. Nie mogę dać konkretnego terminu, bo nie mam władzy nad prezesem i zarządem GS-u. Moje stanowisko jest w każdym razie jasne — jestem za zlikwidowaniem baru. Ja wiem, że ci Nurczykowie pracują bardzo źle, że skłócili się prawie z całą wsią. Chociaż niektóre wsie sąsiednie piszą akurat coś innego.

M.K.: — Dlaczego mieszkańcy Lachowa mają do pana naczelnika pretensję i zaliczają go do tych, którzy popierają Nurczyków? — Dlatego, że chociaż minął już ponad miesiąc od otrzymania negatywnej odpowiedzi, nie podjął pan w tym kierunku żadnych kroków. Ludzie uważają, że pan specjalnie opóźnia tę sprawę.

K.L.: — Nie ma pan racji. Ja po prostu nie miałem się od czego odwoływać, bo moja decyzja była wyraźna, a prezes nie informował mnie o tym, co robi dalej.

M.K.: — Ale w przeciągu siedmiu dni powinien to zrobić. Jeżeli nie poinformował, to znaczy, że ustosunkował się negatywnie, zlekceważył pana. Pan jako gospodarz powinien wyciągnąć z tego wnioski.

K.L.: — A pana nikt w życiu nie zlekceważył?

M.K.: — Owszem, cały czas. Ale choćby dlatego nie chciałbym, żeby ludzie, którzy mnie tu przysłali, zaczęli mnie lekceważyć za to, że nie potrafiłem wymóc na panu żadnej konkretnej odpowiedzi.

K.L.: — Ja naprawdę nie mogę żadnym administracyjnym ani formalnym zarządzeniem, zamknąć tego baru. Aby udowodnić, że miałem dobre intencje powiem Panu, że prosiłem inspektora sanitarnego Wieteskę, żeby zbadał, czy nie można zamknąć go przez Sanepid. Jutro poproszę jeszcze, żeby PIH zbadał jakość i cenę piwa, które się tam sprzedaje.

M.K.: — Nie wystarczy żebym powiedział ludziom, że rozmawiałem z panem. Jak nic nie wskóram, to powiedzą mi, że działam nieskutecznie i pójdą rozbierać budę.

K.L.: — No tak, i pan i ja, obaj działamy w tej sprawie bezskutecznie.

Mimo pesymistycznego wydźwięku tego dialogu, już dwa dni później dowiedzieliśmy się od szefa kadr Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Rolniczych, że sprawa dojrzała do natychmiastowego rozwiązania. Zadecydowały o tym dalsze wydarzenia w Lachowie. Część mieszkańców całą noc czuwała przy barze, od rana zaczęło się ich gromadzić coraz więcej. Coraz głośniesze były też pomruki, że trzeba by po prostu spalić tę budę.

Gdy wieści o tym dotarły do WZSR-u, termin zawieszenia działalności obiektu z 15 lipca br. zmieniony został na — natychmiastowy. Według informacji uzyskanych od wiceprezesa Szymczyka z kolneńskiego GS-u, tego samego dnia, w czwartek 28 maja, punkt został pospiesznie „ewakuowany".

Pomyśleć, że trzeba było takiej zaciętości i determinacji mieszkańców, żeby doprowadzić do zamknięcia znienawidzonej knajpy. I to w okresie, gdy cała Polska zadeklarowała otwartą wojnę z alkoholizmem. Ta pierwsza pomyślnie rozwiązana bolączka gminy Kolno pozwala mieć nadzieję, że i na biurokrację są sposoby.

O kolejnych próbach uaktywnienia kolneńskich władz — w następnym numerze „Kontaktów".

DANUTA I ALEKSANDER WRONISZEWSCY
Fot. GABOR LÖRINCZY

tylko mi nie pomagajcie

KWIATEK DO KONTUSZA

Zwróciła się do mnie TVP z propozycją wznowienia mojego — ich zdaniem — herbarza. Oni rozpoczynają akcję „Herbarz z makulatury". Wydawnictwo RiTV, do niedawna znane z popularyzacji przygód redaktora Maya, obiecuje rzecz szybko wydać. Naturalnie na talony — kartki stały się już naszym nałogiem i hazardem. Nałogiem mas, hazardem władz. Jednym słowem: „oni" wydają, ja nadzoruję. Jeśli akcja powiedzie się, dorzucą księdza Kitowicza „Opis obyczajów". Bo, pierwsze primo: usłyszeli, że W. Gombrowicz w „Dziennikach" pozytywnie ocenił styl księdza proboszcza z Rzeczycy. Drugie primo... Wystarczy! Jak nazwać, wznowionego pod egidą RTV, Kitowicza? „Obyczaje z makulatury"? Pachnie wyraźnie apologią byłych prominentów, czyli po ludzku: pochwałą wielkości strąconych ze świecznika.

W ramach demokratycznego sondażu, TVP postanowiła ze mnie wysondować „jaką pozycję uważam za celową do wznowienia w ramach rozbudzenia świadomości nowoczesnego społeczeństwa socjalistycznego?". Hmm. Pozycję? Czy ja jestem Wisłocka, żebym od razu pisał o pozycjach? Ale plułmy na tę skorupę (stylistyki) i wstąpmy do głębi (intencji). Jaką książkę zaprotegować telewidzom? Naturalnie: „Pamiętniki" Markiewiczów. Piękna XVII-wieczna polszczyzna pozbawiona jednak makaronizmów Paska — to główna, acz nie jedyna, zaleta tego dzieła.

I w tym duchu odpowiedziałem TVP. Demokratyczny sondaż na pierwszym miejscu. Maleńkie sprostowanko — na drugim. Może nie takie „maleńkie". Musiałem bowiem — zgodnie z prawdą — stwierdzić, że po pierwsze nie jestem autorem herbarza. Herbarzy znam sporo, ale w swej działalności popularyzującej prawie heglowski pochód rozsądku poprzez dzieje, opieram się głównie na utworach Kaspra Niesieckiego (31.XII.1682 — 9.VII.1744) i Bartłomieja z Głogoł Paprockiego (1543 — 27.XII.1614). Pełna lista „materiałów źródłowych" jest jednak za długa jak na wymogi telewizyjnej erudycji. Lepiej niech zwrócą uwagę na to, że obaj moi prominenci znajdowali się pod wyraźnym wpływem Strzelca. Jeden pod Strzelcem się urodził, a drugi — umarł. Co do tytułu: uważam, że jest uwłaczający i sugeruje różne wykręty, a nawet zawiera świadomą deklarację złej jakości wyrobu, a może to zdenerwować naszego socjalistycznego ombudsmana redaktora Nałęcz-Jaweckiego. Mówiąc prościej: postraszyłem ich. Tradycyjnie: zawsze Polak Polaka straszył lub pouczał. W dobie odnowy straszy tylko Katowickie Forum, ale pouczają wszyscy wszystkich. Kociokwik stąd nieopisany. Chudy Park do entej potęgi.

Oczywiście, całą historię o „Herbarzu z makulatury" wymyśliłem. W rewanżu za „Lektury z makulatury". TVP i radio pełną parą włączyły się w odnowę. Załapali się wszyscy z wyjątkiem red. Hańbowskiego, który odpadł na starcie tego biegu po zdrowie. Nawet stuprocentowi intelektualiści, którzy do niedawna odmawiali współpracy z firmą, uważają, że sytuacja się odmieniła. Tak sądzi np. profesor Klemens Szaniawski. Ja zaś po staroświecku myślę, że prawdziwe zmiany, to zmiany programowe. I zmiany w postawie wobec odbiorcy. **Nie widz — jako dowód na kontakt TVP z widzem, ale widz — jako współpraca i współdecydent programu.** A tutaj; nawet nie drgnęło. Jako „przed sierpniem" tak i „po sierpniu". Potraktujmy sprawę poważnie. Telewizja jest od informacji i rozrywki — już nauczanie wychodzi gorzej — a nie od organizowania skupu surowców wtórnych („Lektury z makulatury"), czy częściowego pośrednictwa w upłynnianiu bubli („Telewizja w sprawie miliardów"). Zajmowanie się działalnością uboczną rodzi podejrzenia, że z działaniem podstawowym jest zupełnie krucho. Wprawdzie wydawanie książek i polityka wydawnicza, to temat zawsze wdzięczny, ale najpierw należałoby zapytać, ile makulatury wyprodukowały Wydawnictwa Radia i Telewizji.

Łatwo się załapać na Mickiewicza, trudniej na rozsądek. Akcję pozyskiwania papieru — ciernista to jednak droga; przetwórstwo nawala — należałoby przynajmniej przeprowadzić bezpapierkowo, aby uniknąć strat cennego surowca. Tymczasem każdy telewidz — uczestnik „Lektur z makulatury" musi wykazać się świstkiem (też papier), stwierdzającym, że zasługuje na książkę. Gdy pokwitowań zabrakło ludzie czekali, a później sami sporządzali listy, poświadczali je, chodzili po zaświadczenia. Nie uprzedzono zbieraczy makulatury, że ten, który oddał kilogram i przynoszący 30 kg dostaną tylko jeden talon „na wieszcza". Nawet w przybliżeniu nie podano też, jakie utwory zawierać będzie wygospodarowana edycja.

Słowem, organizacyjne dno, zero. Ale nie rozpaczałbym, tak bowiem bywa, gdy działają amatorzy. Amatorszczyzny — w przeszłości — mieliśmy za dużo. Ten przypadek nie zainteresuję więc teoretyka organizacji czy prakseologa. Już bardziej historyka idei czy obyczaju. Dostrzegą oni jedynie socrealistyczne źródła pomysłu. Prakseolog lub praktyk miałby zbyt wiele pytań i oczywistych stwierdzeń. Przede wszystkim musiałby stwierdzić, że obecnie z wielu względów (technologicznych, transportowych, magazynowych) marnuje się znaczna część już zebranej makulatury. W tej sytuacji organizowanie dodatkowej zbiórki zakrawa na groteskę.

Wiadomo też, że taka akcja może dać bardzo różne gatunki papieru o niejednakowej gramaturze, gęstości, przyczepności, zaś do wydrukowania określonej edycji potrzebny jest papier jednolity gatunkowo. Na pewno lektury nie będą pochodzić z makulatury uzyskanej podczas propagandowej zbiórki. Demagogia wyłazi wręcz z każdego kąta. Tymczasem trzeba sprawę przedstawić uczciwie i realistycznie. Na druk książek i czasopism używamy zaledwie 8—9 proc. ogólnej ilości papieru nadającego się do zadrukowania. Ponad 90 proc. idzie na druki akcydensowe, niektóre rodzaje opakowań, działalność biurokracji oraz radosną twórczość instruktażową. Prawie trzystronicowe instrukcje pouczające setki tysięcy rodaków o tym jak należy czyścić buty, włączać grzałkę, czy posługiwać się odkurzaczem. Doprawdy inicjatorzy akcji — jak to określiłby Jerzy Andrzejewski — częściowo szukają czarnego kota tam, gdzie go nie ma, a częściowo gonią za kotem zupełnie nieistniejącym.

Zresztą trzeba uważać na ofiarujących pomoc. Przypomina mi się tu pewne wydarzenie sprzed lat. W jednym z województw Polski południowej — a było to już po reformie administracji — władze obozu wakacyjnego organizowanego przez ZSMP skłoniły wszystkich obozowiczów do wzięcia udziału w akcji „Każdy kłos na wagę złota". Udano się do sąsiadów — rolników. Indywidualnych. Żaden tam PGR czy spółdzielnia produkcyjna. Skądinąd świadczy to o tym, że indywidualnych rolników zawsze doceniano i dostrzegano. W każdym bądź razie co najmniej w niektórych wojewódzkich zarządach ZSMP. Jeden z indywidualnych nie chciał pomocy. Honorny był taki. Zaklinał: „Panowie, ja wam wszystko podpiszę, tylko mi nie pomagajcie". Chytry chłop przypuszczał, że obozowiczom nie chodzi o pomoc, ale o tzw. dokumentację „uczestnictwa w akcji". Miał jednak pecha. Młodzi nawet nie chcieli słyszeć o żadnej lipie i lewych zaświadczeniach. Garnęli się do czynu. Chłop musiał sięgnąć do zachęt ekonomicznych: „Piwo wam postawię, panowie. Wszystkim. Tylko mi nie pomagajcie."

Pomogli. Młodzi księgowi prawie doszczętnie stratowali pole należące do indywidualnego rolnika. Uczynili to nie z zemsty czy przekonań. Ale z nieudolności. Jak bowiem pisał Krzysztof Zborowski do brata swego Samuela z Rytwian: „*Tu ne cedo malis, sed contra audentius ito*".

„STRYJEC"

---

refleksje

STANISŁAW ZIELIŃSKI

nagi błazen

Minął wiek gnuśności
Po wsiach świt rumiany
Rozstawione wokół wici,
Wołać na odmianę

— czytamy w obecnym hymnie Związku Młodzieży Wiejskiej. Optymistyczne są to słowa, zwłaszcza w obecnej sytuacji, gdy w każdej wsi polskiej wiele gorzkich prawd odrywa się od grud czarnej ziemi, trafia do Sejmu, do Biura Politycznego KC, do różnych urzędów, jak wyrzut chłopskiego sumienia. W gminach przybywa podań o ciągniki, sprzęt towarzyszący, ba!, nawet o zwyczajne, klasyczne konne brony.

Natomiast z drugiej strony wartko napływa strumień obietnic i deklaracji. Nie trudno zauważyć, iż jest w społeczeństwie widoczny podział na tych, którzy radzą i tych, którzy mają robić. Szkoda, że nie uwzględnia się przynajmniej jednego na stu, roznoszącego olej do głów. Ale o czym tu gadać, kiedy nawet oleju rzepakowego nie uświadczysz. Ongiś pojawił się w sklepie. Ludzie rzucili się wtedy niczym sępy na ofiarę. I to jednakowo szybko: i ci z miasta — i ci ze wsi, powołani do władzy — i do roboty. Wszystkim trzeba.

Tymczasem samo rozwiązywanie problemów postępuje bardzo powoli. Ciągnie się latami, jak guma do żucia. Na poprzednich błędach zaraz zielenią się nowe. Przeto nic dziwnego, że wieś pustoszeje. Starzy rolnicy wykruszają się, młodzi opuszczają ręce. Nie widzą dla siebie szans.

W mieście żywność kupić łatwiej — nawet tę wydzieloną i tak samo jak dawniej, wydeptaną w kolejce — niż ją wyprodukować na wsi. Lecz porzucają swoje rodzinne zagrody nie tylko dlatego. Pragną jakiegokolwiek dostępu do kultury: teatru, kina, dobrej książki, autentycznego polskiego słowa, które w dzisiejszych czasach droższe się stało niż chleb. Pragną kultury życia, poszanowania godności człowieka — czego próżno szukać w gminnych urzędach. Wystarczy, że przywiozą do kiosku proszek do prania czy papierosy, już cała gmina pustoszeje, bo wszyscy, bez względu na to czy widzą szansę dostania czegokolwiek czy nie, biegną co sił do kolejki. A przyjeżdżający ze swoimi sprawami chłop niech poczeka. Przecież urzędnik też człowiek i musi sobie coś kupić do palenia, picia, jedzenia. Więc co ma począć: albo naciska czapkę na uszy i czym prędzej wraca, albo gapi się do woli wyrabiając w sobie świadomość dokonujących się przemian.

Czy można się dziwić, że młodzi uciekają do miasta? Posądzać ich o brak szacunku do pracy i historycznego chłopskiego przywiązania do ziemi, gdy wieś odgrodzona jest od możliwości autentycznego własnego życia stogami przepisów? Walnym zebraniom chłopskim odebrano moc samorządów; do linii politycznej, jakże gwałcącej i wymuszonej, dopasowano sołtysów, wykluczając najbardziej opornych; a parlamentarnie obieranego przez radnych wójta zastąpiono mianowanym z góry naczelnikiem, z cenzusem najwyższego w gminie urzędnika — w wielu przypadkach człowiekiem obcym jej sprawom, za to wygodnym. Wymaga się od niego pomyślnych rządów, a cóż on może polecić na przykład dyrektorowi SKR-u, czy prezesowi GS-u? Może najwyżej udać się do nich z dobrym słowem i prosić, by go wysłuchali. Albo palcem pogrozić.

Teraz mówi się: „To jest wina ekipy partyjno-rządowej z lat siedemdziesiątych", ale by ten wniosek wyciągnąć, trzeba było aż strajków, społecznych buntów i protestów, pustych półek w sklepach. A przecież poprzednie decyzje, na przykład w województwie łomżyńskim, przechodziły przez ręce tego samego wojewody, tego samego dyrektora Wydziału Rolnictwa Urzędu Wojewódzkiego, tych samych naczelników. Wszyscy jednakowo byli świadomi dokonywanych błędów. Gdzie przybywał Edward Gierek, sami ściągali najlepsze sztuki bydła od chłopów do pegeerów i specjalistów, wydawali przyjęcia na tę cześć, a pokątnie śmiali się, i opowiadali sobie dowcipasy, i szyli coraz większe klapy do odznaczeń. Wytrawni cyrkowcy! Nigdy nie mieli gospodarskiej rzetelności i dziecięcej odwagi zawołać: „Król jest nagi! Teraz dziwią się, że nie ma żywności. Ano — nie ma, bo jeśli ze wsi polskiej zrobili arenę cyrkową, a ze zwyczajnego obrotu towarami — diabelski młyn, nakręcany nie tylko przez administrację, to w tej rzeczywistości nie ma miejsca i czasu na wyprodukowanie chleba. Skoro ze wsi zrobiono cyrk, to trzeba tu się śmiać, lecz ten śmiech, jakże często powielany przy różnych rodzinnych okazjach, trwa już dziesięć lat, a w wielu wypadkach nawet trzydzieści. Stał się za długi. Męczący. Społeczeństwo w tym czasie stało się głodne i zaczyna wołać jedno: jeść!

Chciałoby się teraz rzec: „Panowie decydenci i najwierniejsi błazeńscy urzędnicy! Nawarzyliście piwa, więc wypijcie je do dna". Ale czy jest sens im to podpowiadać, gdy mają na miejscu swe łomżyńskie, do którego już się przyzwyczaili i bez którego żyć nie nawykli. Zresztą nie jest to nazbyt bezpieczne, bo jeszcze się spiją na amen, zamkną urzędy i przyjaciołom się poskarżą, że chłopi nie płacą im należności, są krnąbrni i solidarni.

Pomimo tylu miesięcy odnowy — zapowiedzi o uchwałach, decyzjach, papierkach różnej maści, na wsi wiek gnuśności trwa i może dlatego tym donośniej brzmią tu słowa hymnu Związku Młodzieży Wiejskiej: „*Trzeba rozstawiać wici*" i „*wołać na odmianę*" — głośno, wytrwale, skutecznie. „*Trzeba od przyciesi*" budować wieś, „*Polskę pięknić i ładzić*", aż „*do niebieskich pował*". To nic, że słowa te brzmią jak w pozytywiźmie hasła pracy organicznej i pracy od podstaw. To nic, że wielu przeciwników tej organizacji i odnowy zarzuca im nieaktualność lub wręcz bezsensowność.

Przeciwnicy są zawsze. Taka jest ich rola, aby krytykować, choć lepiej byłoby, aby tę rolę uprawiali nie tylko pod chwasty. Całkowicie podzielam młodzieńczy optymizm ZMW-owskich słów. Są wsi potrzebne jak słońce i deszcz chociażby dlatego, aby już nikt i nigdy nie stawiał sobie za cel wyprowadzenia rolnika w jego własne pole.

STANISŁAW ZIELIŃSKI

Rys. Andrzeja Podulki

dacze dolne, dacze górne

REPORTER: — Można, panie dyrektorze? My jesteśmy z radia...

DYREKTOR: — Pani Basiu, przecież mówiłem, że jestem zajęty, no?

REPORTER: — Pani Basia mówiła, że pan jest zajęty, ale my na dwie minuty.

DYREKTOR: — Ja teraz nie mogę, bo zaraz spodziewam się delegacji.

REPORTER: — Jakiej delegacji?

DYREKTOR: — U nas właśnie... eee... powstały też niezależne Związki Zawodowe i mamy tu za chwilę konsul... tak, że ja, tego... mnie nie interesuje... Nie mogę nawet dwóch minut poświęcić na żadne rozmowy. Niech pan wyłączy ten mikrofon! Ja powiedziałem, że... Pani Basiu! Żegnam panów, do widzenia!

REPORTER: — Do zobaczenia!

(Leśna polana)

REPORTER: — Jesteśmy na miejscu?

PRZEWODNICZĄCY: — Tak by wyglądało.

REPORTER: — Pan jest przewodniczącym społecznej komisji kontroli. Czy tak to się nazywa?

PRZEWODNICZĄCY: — Się nazywa. Przy Urzędzie Miasta i Gminy. A tu są właśnie te budynki, o których wcześniej mówiliśmy. Coś jakby wieś... Dacze Dolne.

REPORTER: — To jest umowna nazwa wsi, prawda, bo ona w spisach nigdzie nie figuruje?

PRZEWODNICZĄCY: — Nawet na te nowe mapy nie jest naniesiona, ale tak ustaliliśmy, że to będą Dacze Dolne.

(Gabinet naczelnika)

REPORTER: Dzień dobry, panie naczelniku. My w sprawie tej wioski.

NACZELNIK: — Jest dwie wsie: Daczewo Górne i Daczewo Dolne. Daczewo Górne liczy... Dość duża wieś, mieszkają rolnicy tam, jak to na wsi. Natomiast w Daczewie Dolnym jest ponad trzydzieści budynków i nikt kompletnie nie mieszka. Wprawdzie muszę powiedzieć, że tam jest bardzo ładny krajobraz, nooo i w tej sprawie interesował się już i NIK, i przedstawiciele Wojewódzkiej Rady Narodowej, i PIH, i prokuratura wraz z milicją. I ja osobiście nie mogę stwierdzić, czyje to są domki.

(Wiejskie podwórze)

REPORTER: — Dzień dobry! Pan jest sołtysem Daczewa Górnego. Daczewo Dolne też ma sołtysa?

SOŁTYS: — Nie ma. Tam nie ma żadnego sołtysa. Tam teraz wioska wcale zamarła. Nie ma właścicieli. Kto tam mieszka, to my same nie wiemy.

REPORTER: — U was są wodociągi według planu?

SOŁTYS: — Paaannoooowie! Łooo! Wodociągi! To było tak: przyjechał ten główny jakiść projektant, zrobił projekt, wszystko, plany zrobili, tu i nawet u mnie jeszcze posiedzieli przy tej butelce — wszystko załatwione! Podpisano, nie wiem tam przez kogo, bo sołtys jest tylko po to, żeby jem załatwić wypicie. No i teraz robimy? Doły kopiemy. Przywożo rury, a każdy tylko patrzy i cieszy się. Dobrze, woda będzie na miejscu! Za jakiś czas się okazuje — skręcili i zamiast do Górnego, do Dolnego poprowadzili. Zamiast tu do nas, prosto, to oni minęli na prawo i nam zalali tako pałe. I komu ta woda poszła? A my dalej to korbo musim kręcić. A oni majo tam wode, majo tam wszystko.

REPORTER: — Jak to — wszystko?

SOŁTYS: — Bo i światło. U nas światło wyłanczajo, że nie można nawet kartofli uparować. Jak my sie dowiedzieli, to tam jakaś lepsza sfera: z ministerstwa goście so, z telewizji... Aż strach do nich podejść, bo oni diabeł wie czym tam przyjeżdżajo. A jak ty konikiem jedziesz, to tam do nich zajrzysz? Oni i kanalizacje majo! No, kurna jego raz, jak to może być!? Jeszcze jedno: tu teren wolny jest; miał stać sklep gospodarstwa domowego, bo dla nas potrzeba lemiesz, jakieś tam konserwy kupić, nawet i to wino. W zeszłym roku patrzymy, już sklep stoi w Dolnym!

REPORTER: — W Dolnym Daczewie jest sklep?

SOŁTYS: — No, tak. On tylko obsługuje czas letniskowy, a potem stoi zamknięty. I, widzicie, nawet nie ma komu światła w niem wyłączyć, pół roku się pali.

(Gabinet naczelnika)

NACZELNIK: — No, jestem gospodarzem terenu, ale — jak się okazuje — nie mogę dużo w tej sprawie interweniować.

REPORTER: — Musiał ktoś przecież wydawać zezwolenia na budowanie?

NACZELNIK: Ja osobiście nie wydawałem żadnych zezwoleń, tylko architekt.

REPORTER: — Ale na niektórych są pańskie podpisy. My mamy takie dwa, proszę zobaczyć.

NACZELNIK: — Nie, to nie jest mój podpis. Musi być sfałszowany, bo ja niczego nie podpisywałem.

REPORTER: — Ale pieczątki... Urząd Miasta i Gminy, naczelnik...

NACZELNIK: — Sama pieczątka o niczym nie świadczy. Urzędnik z upoważnienia mógł podpisać. Mam dwie osoby upoważnione, w razie mojej nieobecności, do podpisania, i mogli to wykorzystać, kiedy mnie nie było.

(Wnętrze chaty, położonej na skraju wsi)

REPORTER: — Pani Jabłonowska, tak? Dzień dobry.

JABŁONOWSKA: — Może i tak. Dzień dobry. A o co chodzi?

REPORTER: — Mówiono nam we wsi, że pani pracowała w Daczewie Dolnym.

JABŁONOWSKA: — Tak, sprzątałam.

REPORTER: — W ilu domkach?

JABŁONOWSKA: — A było ich coś z pięć.

REPORTER: — Ładne są to domki, jak urządzone?

JABŁONOWSKA: — Łooo, panie! Dywany! Same dywany, wszędzie dywany, gdzie nie spójrzysz! Na podłogach, na ścianach, nawet i na suficie dywany! Na schodach, a to i pod schodami dywany! Kto co tylko zapragnął, to oni tam mieli: pralki automatyczne, telewizja kolorowa... W jednym domku było aż cztery pokoje i łazienki, a w każdej kafelki jak cud, włoskie czy jakie. Aż oczy grały na wszystko! A na oknach firanki — śliczności! Automaty. Pociągnął raz i samo sie odsłaniało. Wszystko tak, że luks. I dobrzy ludzie, nie można powiedzieć. Wynagradzali mnie dobrze, czym mieli. Nieraz coś i po lewemu dali: czy swoje jakieś stare ciuchy, kalesony dla męża, kapcie dla dzieci, gumiaki dla mnie. Dla syna koło dali od rowera.

REPORTER: — Czy pani nazwiska znała tych ludzi?

JABŁONOWSKA: — Nie znała specjalnie, bo to takie panowie, że ich wstydziłam się o nazwiska pytać. Po imieniu przeważnie tam tak gadali, no, pani Renia, pani Krysia, pani Stasia, pani Nadzieja. Najszczersza była pani Wiera! Co miała starego zawsze mnie oddała. Nawet firany mnie takie dobre oddała, to jak sobie mieszkanie udekorowała niemi.

REPORTER: — Ale ona jakaś dziurawa... nie, przepalona.

JABŁONOWSKA: — To kiedyś pan, jak pani nie było, przyjechał z drugo, tako młodo panio, no i ona przepaliła. Ale u mnie mało co widać, bo łóżko tu stoi.

JABŁONOWSKI *(wchodzi)*: — Dzień dobry!

REPORTER: — My tu z żoną rozmawiamy właśnie... Pan jest z zawodu stolarzem, tak?

JABŁONOWSKI: — Tak, a o co się rozchodzi?

REPORTER: — Pan tam robił, zdaje się, boazerię, meble, podłogi...

JABŁONOWSKI: — No, takie nieduże tylko szafki. Kierownik mnie zlecił, to się robiło. Przywieźli mnie na miejsce samochodem, dali klucze do domku, powiedzieli, co zrobić, a po fajrancie odwieźli. Dali termin jeszcze, do jakiego czasu to wykonać. Przeważnie machoń... Jeszcze był palisander, balsa, jodła była...

REPORTER: — Joodła!? Przecież jodła jest pod ochroną!

JABŁONOWSKI: — Nie moja sprawa, ale limba była, znam się w końcu na materiale, dwadzieścia lat praktyki w zawodzie mam.

REPORTER: — A dla kogo pan właściwie robił?

JABŁONOWSKI: — Mnie to nic nie obchodziło. Przyjechał facet, tylko rozejrzał się po ścianach, czy robota idzie, nawet słowem nie odezwał się, nie zapytał, kto ja jestem, nic.

(Gabinet naczelnika)

REPORTER: — Czy pan, gospodarz tego terenu, nie wiedział, że buduje się trzydzieści kilka domków?

NACZELNIK: — Wiedziałem, tylko nie chciałem się wtrącać.

REPORTER: — A to dlaczego niby?

NACZELNIK *(z zakłopotaniem)*: — Nooo... ja wówczas nie miałem wiele do gadania. Właściwie nic nie miałem do gadania. Trudno mi powiedzieć... To jest dla mnie taka... zagadka.

(Baza transportowa; zajeżdża wołga, wysiada z niej młody człowiek)

REPORTER: — Pan Filipkowski? Wołgą pan teraz jeździ?

KIEROWCA: — No, jeżdżę, widzi pan, że jeżdżę.

REPORTER: — Pan ostatnio jeździł jakimś innym wozem.

KIEROWCA: — Tak, sztajerem, pietanastotonowym.

REPORTER: — Dokąd pan jeździł, powiedzmy, w ciągu ostatniego półrocza?

KIEROWCA: — Nooo... do Strzegomia. Po marmury.

REPORTER: — A po szkło gdzie pan jeździł?

KIEROWCA: — No... do huty.

REPORTER: — Do Krosna?

KIEROWCA: — Nie, do Krosna jeździłem wołgą po kieliszki.

REPORTER: — A po blachę cynkową gdzie pan jeździł?

KIEROWCA: — Do Katowic.

REPORTER: — Ile razy?

KIEROWCA: — Dwa razy, a o co chodzi? Po cegłę dziurawkę to jeździłem do Warszawy.

REPORTER: — Dokąd pan to wszystko woził?

KIEROWCA: — Są takie miejscowości leżące obok siebie, to nie wiem, czy to Dolne, czy Górne. Ja tylko zawoziłem.

DYSPOZYTOR *(podchodząc)*: — Filipkowski, o co chodzi?

KIEROWCA: — Z radia przyszli po coś.

DYSPOZYTOR: — O co chodzi, panowie, konkretnie?

REPORTER: — Pan wystawiał karty na sztajera?

DYSPOZYTOR: — Kazali mnie, to wystawiałem.

REPORTER: — Kto kazał?

DYSPOZYTOR: — Z góry! To wie pan — Białystok, Szczecin. Po całej Polsce wożą. Z miejsca na miejsce! Na przykład — z Katowic do tego przedsiębiorstwa, gdzie jesteśmy, były takie kursy.

REPORTER: — To znaczy — jakie?

DYSPOZYTOR: — Takie, jak mówiłem, z miejsca na miejsce, donikąd.

REPORTER: — Kto płacił za te kursy?

DYSPOZYTOR: — W księgowości pan pytaj. Ja dostaję papier, wystawiam kartę i u mnie wszystko gra.

REPORTER: — Słyszał pan o wsi Dacze Dolne?

DYSPOZYTOR *(po chwili)*: — No... coś mi się obiło o uszy. Nie byłem tam, ale... No, nie mam czasu. Filipkowski, do wozu i jazda.

(Gabinet naczelnika)

REPORTER: — Słyszeliśmy, że jeden z tych domów jest pański. Ten czwarty z lewej.

NACZELNIK: — Nie, ja, niestety, nie dorobiłem się jeszcze tego. Nieee. Proszę mnie nie sugerować.

(Daczewo Dolne)

PRZEWODNICZĄCY: — O, proszę, tutaj też zamknięto!

REPORTER: — Tutaj przez okno też nie zajrzymy. Zabite szczelnie okiennice. Na ulicach asfalt. To nie są dacze, tylko wille.

PRZEWODNICZĄCY: — Tak. Dąb, jesion, dość drogie materiały.

REPORTER: — Czemu ta blacha tak złociście błyszczy?

PRZEWODNICZĄCY: — Ona nie ze złota. Jest karbowana i tak w słońcu ładnie świeci.

REPORTER: — No, koszt tego domu, przy którym stoimy?

PRZEWODNICZĄCY: — Tak z pierwszego rzutu oka — gdzieś koło półtora miliona złotych. Tego parterowego. A piętrowy grubo więcej! Mozajeczka ułożona, wszędzie kowalska robota, ładnie gięte ogrodzenia. Albo ten lew z brązu. Poza tym o dwudziestej trzeciej włącza się tutaj system alarmowy. Jeżeli ktoś bramę główną osiedla przeszedł, to mrugało światło kontrolne i dzwoniły dzwonki w domu. Na alarm! Wtedy w stróżówce — to ten mały, stylowy domek — cieć wykręcał odpowiedni telefon i było po strachu.

REPORTER: — A to co? Na budynku napis „Rozbieralnia".

PRZEWODNICZĄCY: — Bo, widzi pan, tu jest latem taki minibasenik. Więc ten budyneczek to rozbieralnia i natryski. Przydadzą się zawsze... Tu napisano „Umywalnia", ale chodzi o myjnię. Krany i natryski są po prawej i lewej, a jak przejdzie samochód, to jest czysty.

REPORTER: — Co tu jest jeszcze z ciekawszych rzeczy?

PRZEWODNICZĄCY: — Dużo jest dobrych... Ooo! Ten kort tenisowy — cacuś! Bo, proszę pana, tłuczeń jest czerwony i specjalny, sprowadzony zza granicy. Na takim się rozgrywa mistrzostwa WCT: Borg, Fibak, Salomon... wie pan. Wielki finał! Albo to oświetlenie! Dużo lepsze od rtęciowego i nowocześniejsze. Nie znam się na tym, ale to jest bardzo droga impreza. Ba, nawet do tego stawu obok basenu zostały sprowadzone specjalne ryby z krajów egzotycznych. Tyle że wyzdychały szybko, bo nie miały tutaj odpowiednich warunków. Chciano tutaj raj zrobić.

REPORTER: — Ile hektarów zajmuje to osiedle?

PRZEWODNICZĄCY: — Pod powierzchnią zabudowaną hektar sześćdziesiąt, a terenu ogrodzonego — czterdzieści.

REPORTER: — Pusto tu, cicho. Ale widzę, że tam ktoś się kręci. Może podejdziemy?

PRZEWODNICZĄCY *(krzyczy)*: Halo! Halo! Chwileczkę! Niech pan nie odchodzi! Panie Edwardzie! Prosimy, prosimy śmiało, niech pan nie ucieka.

REPORTER: — Pan tutaj sobie przyszedł na spacerek?

PAN EDWARD: — Nie, nie... Ja po fajrancie robię takie zlecenie jedne... No, tego... domek rozebrać!

PRZEWODNICZĄCY: — To ciekawe... A komu pan rozbiera?

PAN EDWARD: — Tego to ja nie wiem. Ale chyba większej „górze" ode mnie, bo ja takiej willji się nie dopracował, żeby sobie teraz rozbierał.

ANDRZEJ BARTOSZ
WIESŁAW JANICKI
Fot. GABOR LÖRINCZY

obyczaje

STEFAN WYSZYŃSKI

czyńcie ziemię poddaną

Nieprzerwany trud pracy wiąże nieustannie najwartościowsze siły fizyczne i władze duchowe człowieka. Ulegając prawom życia osobistego i społecznego oddajemy pracy poważniejszą część tego życia. Jesteśmy przekonani, że praca ludzka, pomimo jej ciężaru, jest naszą potrzebą, naszą radością, jest wielkim błogosławieństwem ludzkości. [...]

Praca nasza nabiera nie tylko osobistego, ale i społecznego charakteru. Całym swym duchem i ciałem skierowany jest człowiek nie tylko ku sobie, ale ku stworzeniu, ku bliźnim, ku Bogu. Wybitnie zaznacza się to na odcinku naszej pracy codziennej.

W pracy naszej, dzięki niej i z jej pomocą wytwarza się między ludźmi odrębna więź, więź społeczna.

Czym jest ona w swej istocie? Łatwiej ją stwierdzić i opisać niż wskazać jej naturę.

Istnieje siła, która poprzez współżycie w pracy zespala wokół nas innych ludzi, wiąże z nimi, a nas samych wyprowadza ku nim. Człowiek pozbawiony pracy, bezczynny, jest zazwyczaj odosobniony. Wokół człowieka pracującego skupiają się inni jak pszczoły wokół matki. Praca łączy człowieka z człowiekiem — nie ulega to żadnej wątpliwości. [...]

Społeczne znaczenie pracy tkwi nie tylko w więzi tworzącej się między ludźmi, ale głównie w owocach pracy.

Praca ma tworzyć dobro powszechne. Cóż ono oznacza? Rozumiemy przez nie osiągnięty cel, który założył sobie Bóg tworząc świat i życie ludzkie na ziemi. [...]

W stosunku do tego dobra najwyższego pozostają również inne cele, które człowiek sobie określa, i inne dobra cząstkowe, które chce posiąść. Będzie to dobro rodziny, zawodu, narodu, państwa. Dobra te osiąga człowiek przez współdziałanie z innymi ludźmi, zmierzającymi do tego samego celu. Dla osiągnięcia poszczególnych dóbr człowiek może zespalać swoje wysiłki w różnych społecznościach, w zgromadzeniach, stowarzyszeniach itp. Wszystkie te dobra osiągnięte w wyniku współdziałania ludzi muszą być uzgodnione z planem Bożym.

Praca ludzka ma właśnie dokonywać tego uzgodnienia, ma zmierzać ku dobru zamierzonemu przez ojcowską Opatrzność Bożą. W tym znaczeniu praca nasza będzie służbą Bogu, sobie i bliźnim w granicach zakreślonych Bożym planem. Będzie ona współdziałaniem z Bogiem w myśl Jego polecenia:... *czyńcie sobie ziemię poddaną.*

Jest to powszechna mobilizacja Boża, wezwanie do pracy na ziemi. Ogłaszając to wezwanie Bóg widział ziemię taką, jaką stanie się ona w wyniku pracy ludzi. Widział Bóg rody, pokolenia, plemiona i ludy, narody, całe wieki i epoki, które w uległej służbie Bogu będą szły przez ziemię dorzucając do dzieła Bożego coraz to nowe doskonałości, wykrzesane Bożą siłą w pracy. [...]

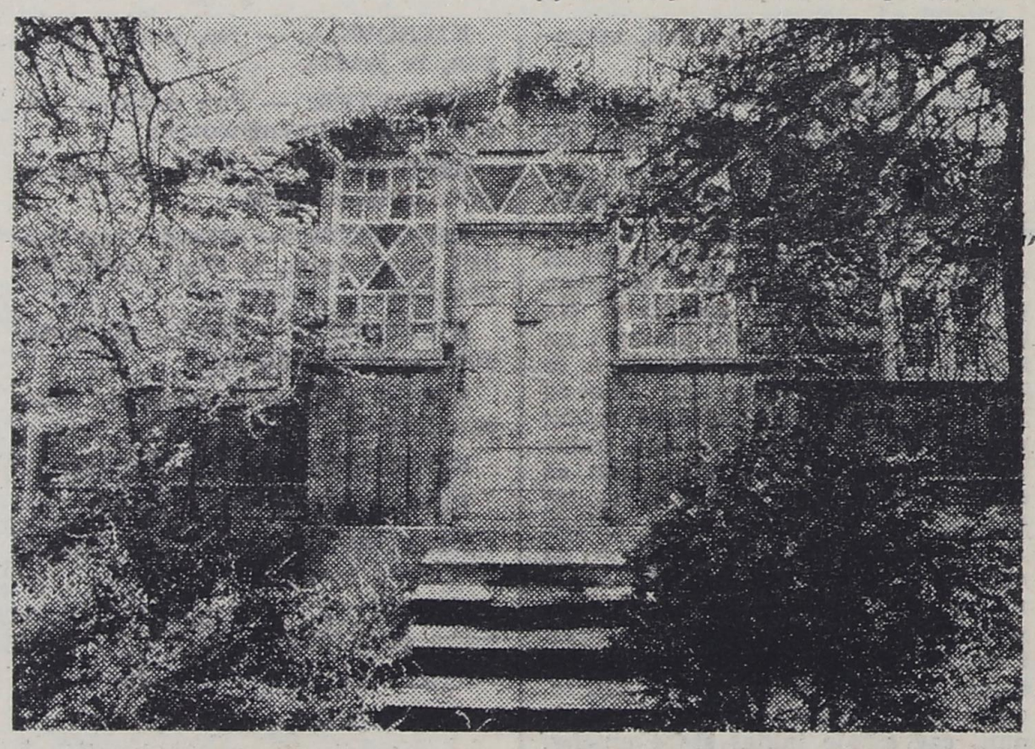

Czyńcie sobie ziemię poddaną — to znaczy zdobywajcie środki, które umożliwią wam życie, aż do tego nieznanego kresu, w którym, pozostawiwszy zdobyte dobra żyjącym, sami oddacie się w pełni Bogu. [...]

Cierpliwość ma dla pracy wielkie znaczenie. Nazywano ją niekiedy „źródłem i strażniczką cnót", uważana jest często za największą spośród nich. Doniosłość cierpliwości w pracy wewnętrznej pochodzi raczej stąd, że usuwa ona to, co w duszy naszej, w usposobieniu wewnętrznym, stoi na drodze do powstania, rozwoju i trwania cnót. Stąd tak jest doniosła, że bez cierpliwości nie można utrzymać się na drodze cnót, choć punktem wyjścia dla nich będzie miłość i łaska Boża.

Zadaniem cierpliwości w pracy będzie opanowywanie nie uporządkowanego nadmiernego smutku. Nie ma on, oczywiście, nic wspólnego z owym zbawiennym smutkiem, który powstaje z utraty dóbr nadprzyrodzonych, służących do osiągnięcia zbawienia. Taki bowiem smutek jest niezbędny, zwłaszcza gdy jest umiarkowany i łączy się z nadzieją zwróconą ku dobremu Bogu.

Mówmy tutaj raczej o tym smutku, który tak żre przy pracy, że staje się przeszkodą do osiągnięcia wielu dóbr, owoców i radości pracy. Smutek ten rodzi zniechęcenie: pod jego wpływem ludzie — do jakiejkolwiek pracy przystąpią, chociażby początkowo z zapałem — ulegają później stanowi przygnębienia, wynajdując tysiączne „ale", drobne przeszkody, którymi usprawiedliwiają niekiedy brak owoców pracy. Starają się oni nie tyle o zwalczanie w sobie smutku, ile o usprawiedliwienie swego „ale". Są to ludzie pełni narzekania, żalów, utyskiwań pochodzących ze smutku.

Gdzie zagości ten smutek, praca nie jest radością; jest ona raczej „odbywaniem służby", odrabianiem pańszczyzny.

Zazwyczaj ze smutkiem łączy się tęsknota za inną pracą: „O, to mi lepiej odpowiada! Tam pracowałbym z zapałem!" A gdy przystąpimy do tej upragnionej pracy, dostrzegamy wkrótce, że smutek powrócił, bo nie sama praca wywołała go, ale coś głębszego; źródło tkwi w braku cierpliwości, w rozdwojeniu myśli, z którego wypływa, że *uczynki nasze nie są pełne.*

Z takiego stanu płyną inne szkody: brak dokładności, sumienności, wierności, radości w pracy. Łączy się z tym zazwyczaj poczucie krzywdy, upośledzenia, straty czasu, wartościowanie pracy nie tyle w świetle rozumnej woli pracy, ale w cieniu przygnębiającego smutku. Stan taki, gdy zawładnie człowiekiem, niweczy niekiedy całą wartość pracy.

Przed takim to smutkiem ostrzega nas wielokrotnie Pismo św.: *Nie podawaj w smutek serca twego i nie trap sam siebie w myślach twoich... Zmiłuj się nad duszą swoją, podobając się Bogu, i wstrzymaj się, skupiaj serce swe w świętości Jego i odpędzaj frasunek daleko od siebie. Wielu bowiem ludzi smutek pobił i nie masz w nim pożytku.*

Istotnie, stan taki bardzo często spotkać można w duszach, które poddały się smutkowi w pracy, dochodząc bardzo często do manii prześladowczej właśnie na tle zleconej sobie pracy.

Mądrość Boża podaje nam środki pomocne do rozprawienia się z tym dręczącym stanem: oddać się Bogu i starać się zwalczyć siebie. Smutek bowiem jest bezowocny i nieproduktywny. Pochłania dużo cennego czasu na próżne rozważania i „bezmyślne myślenie", nie doprowadzając nas zazwyczaj do żadnego wniosku, postanowienia, rozwiązania. W końcu człowiek sam nie wie, „o co właściwie chodzi". Obrazowo przedstawia to Księga Przypowieści: *Jako mól odzieniu, a robak drzewu, tak smutek męża szkodzi sercu.*

Smutek taki, występujący bardzo często na tle zawodów w pracy, zwalczać należy cierpliwością. *Szczęśliwy człowiek, który nie miał smutku w umyśle swoim i nie utracił nadziei swojej;* [...]

Pismo święte nie tylko ostrzega przed smutkiem, ale wprost wzywa do cierpliwości. *Potrzeba wam tylko cierpliwości, abyście, spełniając wolę Bożą, dostąpili obietnicy.* Św. Paweł zaleca nam ją w wypełnianiu codziennych obowiązków jako szkołę mądrości życia: Ale nie tylko (nadzieję chwały), *bo chlubimy się i z ucisków, wiedząc, że ucisk sprawuje cierpliwość, a cierpliwość doświadczenie, doświadczenie zaś nadzieję. A nadzieja nie zawodzi...* Oto jakby drabina, po której wchodzimy coraz wyżej w każdej codziennej, zwykłej pracy.

Ucisk naszej pracy, dobrze pojęty, daje cierpliwość, a cierpliwość przynosi niesłychaną mądrość życiową, uczy nas posługiwać się rzeczami i ludźmi danymi nam do współpracy. Im więcej w nas doświadczenia będącego owocem cierpliwości, tym praca idzie nam łatwiej, a przez to rodzi nadzieję, a nadzieja wlewa ducha radości. Człowiek staje się zwycięzcą, choćby nie doszedł jeszcze do szczytu osiągnięć. *Przez cierpliwość waszą zyskacie dusze wasze.*

Właśnie — w cierpliwości! W codziennym bowiem trudzie na różny sposób kształcimy i rozwijamy siebie, wyniszczają się bowiem w nas niepokojące popędy i namiętności, a dzięki temu oczyszczeniu zyskacie dusze wasze, dusza nasza staje się naszą własnością. Wiedzie nas ku Bożej, nadprzyrodzonej mądrości.

Ludowe przysłowie rozwiązuje to zagadnienie podobnie: „Ile kto ma cierpliwości, tyle ma mądrości". Cierpliwość to „cnota polityczna", to cała umiejętność, z której pomocą należy organizować pracę własną i innych.

Fragmenty z książki „Duch pracy ludzkiej" Stefana Kardynała Wyszyńskiego. Wybrał A.T.

Fot. GABOR LÖRINCZY

lektura

MARKSIŚCI PRZED TRYBUNAŁEM

rozruchy pod magistratem

16 grudnia 1931 roku Sąd Okręgowy w Łomży na posiedzeniu publicznym rozpatrzył sprawę: Michała Erynga — lat 32; Stanisława Szyszkowskiego — lat 28; Aleksandra Bikowskiego — lat 24; Romana Bielickiego — lat 20; Beniamina Olacha — lat 18; Izaaka Olacha — lat 20. Wszyscy zostali oskarżeni przez prokuraturę Sądu Okręgowego o to, że *„w dniu 15 czerwca 1931 roku w Łomży, jako uczestnicy zbiegowiska publicznego, zebranego w liczbie około 200 osób i wywołanego bezrobociem, kierując nim, podżegali zebrany tłum do stawiania oporu policji państwowej, przeciwdziałającej usiłowaniu wtargnięcia zebranych do gmachu magistratu [...]. Przestępstwo to przewidziane w cz. II art. 122 KK [...]. Po rozpoznaniu i sprawdzeniu dowodów, po wysłuchaniu głosów stron, Sąd Okręgowy [...] uznaje winnymi Michała Erynga, Romana Bielickiego, Stanisława Szyszkowskiego, Izaaka — Enocha Olacha winnych zarzucanym im przestępstwom, zaś Aleksandra Bikowskiego i Beniamina Olacha winnych jedynie wzięcia udziału w opisanym wyżej zbiegowisku [...]. Sąd skazuje: Michała Erynga, Stanisława Szyszkowskiego, Romana Bielickiego i Izaaka Enocha — Olacha każdego na zamknięcie na jeden rok w więzieniu z pozbawieniem praw stosownie do artykułu [...] i na uiszczenie po 40 zł opłaty sądowej, zaś Aleksandra Bikowskiego i Beniamina Olacha każdego na zamknięcie w więzieniu na miesięcy sześć i na uiszczenie po 20 zł opłaty sądowej. Zasądza też od wszystkich skazanych zwrot kosztów postępowania”.*

Na poczet orzeczonej kary pozbawienia wolności Sąd zaliczył okres przebywania w areszcie Michałowi Eryngowi i Stanisławowi Szyszkowskiemu, od 16 czerwca 1931 roku do 17 lipca 1931 roku i od 12 października do 16 grudnia 1931 roku. Braciom Olachom zaliczono natomiast okres aresztu od czerwca do lipca i od czerwca do grudnia. W uzasadnieniu opisano wypadki, które doprowadziły do skazania wymienionych.

W dniu 16 czerwca 1931 roku zebrany przed magistratem tłum, liczący 200 osób, usiłował wtargnąć do wnętrza budynku. Zdaniem Sądu ludzie zebrani przed budynkiem chcieli to zrobić na wskutek podżegania przez obwinionych. Pracownicy tej szacownej instytucji wezwali policję.

Nie przyjęto tłumaczenia oskarżonych, że przebywali pod ratuszem z tych samych powodów, co i pozostałych dwieście osób. *„Zestawiając te wyjaśnienia z wyjaśnieniami innych osób należy dojść do wniosku* — stwierdzono w sentencji wyroku — *iż wyjaśnienia oskarżonych nie odpowiadają rzeczywistości. Z zeznań świadków* (przesłuchano wówczas szereg osób) *wynika, że rola każdego z nich była jasna*”

Przyjrzyjmy się temu rozjaśnianiu sprawy. Świadek Zamiara zeznał, że 16 czerwca 1931 roku widział oskarżonych Erynga i Szyszkowskiego pod magistratem już około godziny 7 rano i słyszał, jak namawiali oni zebranych do kategorycznego żądania pracy, lub zapomogi. Następnie przyszedł Izaak Olach i zaczął nawoływać bezrobotnych do nieustępowania. Gdy Zamiara podszedł do niego, wziął za rękę — jak zeznał — i chciał wyprowadzić z tłumu. Olach zaczął krzyczeć:

— Towarzysze, patrzcie, policja mnie zabiera! Nie pozwólcie mnie zabrać!

Wśród zebranych odezwały się nerwowe głosy:

— Nie dać! Nie dać!

Policjant puścił Olacha i uciekł. Około godziny 10.00 tłum zaczął krzyczeć:

— Idziemy na magistrat! — I ruszył. Widząc to Zamiara kazał zaryglować drzwi i zadzwonił na posterunek.

Tłum zbliżył się, zaczął się dobijać do drzwi. Ale nadejście policji spowodowało, że zaniechano ich wyłamania, do czego już zaczęto się szykować. Paru młodszych bezrobotnych pobiegło nawet na pobliskie podwórka szukać drągów, łomów i innych prostych narzędzi, które by się do tej, mało skomplikowanej, operacji nadawały.

Tłum cofnął się. Zaczął skandować:

— Żądamy chleba i pracy!

Świadkowie: Gnatowski, Kusia, Romanowski, Baas, Busia, Kasnerek — w większości policjanci — mówili sądowi, że tłum zachowywał się w sposób zdradzający zdenerwowanie. Nie chciał słuchać nawet rozkazów komendanta powiatowego policji i referenta służby bezpieczeństwa. A w końcu zniecierpliwiony, ponownie ruszył na magistrat. Miało to podobno wyglądać tak:

Na czoło wysunęli się Eryng z Szyszkowskim. Zawołali:

— Naprzód! Za nami!

Pierwszy do drzwi magistratu podszedł Eryng i zaczął w nie walić. Następnie nadbiegli inni i zaczęli robić to samo. Używali do tego szpadli i kijów.

— Gdyby policja nie nadeszła, proszę wysokiego sądu — mówił świadek, policjant Hans — to na pewno zdemolowaliby magistrat. Niektórzy z nich wołali, żeby to zrobić.

Gdy tłum, pod naporem policji, zaczął się cofać, a następnie uciekać, Roman Bielicki zdjął czapkę i zaczął krzyczeć:

— Towarzysze, nie uciekać!

Tak zeznał policjant Antoni Haraburda. Dodał jeszcze, że Bielicki wołał, aby wszyscy z powrotem wracali pod magistrat.

Sąd oparł się przy rozpatrywaniu winy oskarżonych na zeznaniach ludzi wiarygodnych. To znaczy policjantów i agentów służby bezpieczeństwa. A niewiarygodnych zeznań — Pogroszewskiego, Cyndlera, Chojnowskiego, Grzanki, Bajkowskiego, Darmetki, Romańskiego i Pomerańca — uznał za stosowne nie wziąć pod uwagę. Umniejszały one bowiem winę podsądnych lub podważały prawdziwość tego, co zeznawali policjanci. Niektórzy z nich twierdzili mianowicie, że tłum został sprowokowany przez policję. Że demonstracja przed magistratem miała zupełnie spokojny przebieg.

Sprawa ta znalazła swój finał przed sądem apelacyjnym w Warszawie. Skazanie nastąpiło przede wszystkim z tego względu, że co najmniej dwu z oskarżonych, znanych było policji jako działacze komunistyczni.

Wcześniej, 26 maja 1931 roku, stanął przed sądem Jan Jaroszkiewicz — jeden z przywódców komunistycznych w Okręgu Łomża. Świadkami w toczącej się rozprawie byli: Piotr Puszkarek — przodownik policji w Wiźnie i Franciszek Gutowski — posterunkowy z tej samej miejscowości.

W jaki sposób Jaroszkiewicz trafił w ręce policji? Otóż w kwietniu 1931 roku na posterunek w Wiźnie wpłynął od konfidenta meldunek, że do tej miejscowości mają być dostarczone ulotki komunistyczne. Komendant nakazał dyskretną obserwację wszystkich przyjezdnych. Nie było to trudne. Wówczas bowiem podróżowało się raczej rzadko. Wśród stałych mieszkańców takiej np. małej miejscowości jak Wizna od razu można było dostrzec obcego.

Właśnie 12 kwietnia posterunkowy Gutkowski zobaczył na rynku *„osobnika, który wydał się nieznajomy”*. Podszedł do niego i zapytał:

— A pan w jakiej sprawie?

— Nazywam się Jan Jaroszkiewicz — powiedział nagabnięty — przyjechałem do Wizny w poszukiwaniu pracy. I teraz wracam do Łomży.

Policjant przypomniał sobie to nazwisko, które przecież nie raz wymieniane było w literaturze szkoleniowej, i zaprosił go na posterunek. Dokumenty nie precyzują jak to zaproszenie wyglądało. Ale przed sądem mówiło się nie inaczej, tylko o zaproszeniu. Na miejscu komendant Puszkarek przeszukał doprowadzonego i znalazł w kieszeni jego marynarki, pod jesionką, 32 odezwy komunistyczne. Jaroszkiewicz miał się — według słów policjantów — zmieszać, a następnie oświadczyć, że odezwy te znalazł w rowie koło Piątnicy.

Policjanci nie uwierzyli mu. W sposób wysoce inteligentny udowodnili, że mówił nieprawdę. A dlaczego?

— To nie mogła być prawda — proszę sądu — bo tego dnia padał deszcz. A te papiery, któreśmy znaleźli były suchutkie jak pieprz. I takie nowe, jakby je dopiero co wydrukowano.

Odezwy, które zatrzymano, dotyczyły obchodów 8 marca, były opracowane przez Komitet Centralny KPP. Wzywały wszystkie robotnice, chłopki, kobiety pracujące, bezrobotne, matki, żony, siostry proletariuszy do demonstracji przeciwko wojnie, przygotowywanej przez światowy i polski faszyzm. *„Robotnice* — stwierdzała odezwa — *powinne podjąć walkę strajkową o równouprawnienie. Poborców, sekwestratorów, komorników trzeba przegnać widłami. Dzień 8 marca powinien być dniem wystąpień przeciwko rządowi głodu, nędzy, wojny i bezrobocia”.*

Znalezione przy Jaroszkiewiczu odezwy zwracały się też do żołnierzy, aby ci, gdy otrzymają rozkaz strzelania do bezrobotnych, zwrócili broń przeciwko tym, którzy im ten rozkaz wydali, bo to są wspólni wrogowie. Wszystkie zresztą kończyły się hasłami: *„Precz ze służbą wojskową kobiet”; „Precz z rządem faszystowskim Piłsudskiego”; „Ani grosza podatku rządowi głodu, bezrobocia, terroru i wojny”; „Niech żyje walka o obalenie dyktatury faszystowskiej drogą zbrojnego powstania”; „Niech żyje KPP jedyny wódz mas pracujących”.*

Jaroszkiewicz nie przyznał się do *„winy należenia do KPP”*. Zasady konspiracji zakazywały to członkom partii nawet wówczas, gdy rzecz została niezbicie udowodniona. Chyba, że chciano procesowi nadać charakter demonstracji politycznej.

Mimo nieprzyznania się zarzucano mu: *„[...] to, że w roku 1931 na terenie powiatu łomżyńskiego należał do Komunistycznej Partii Polski, czyli do spisku zawiązanego w celu dokonania zamachu na ustalony w drodze praw zasadniczych ustrój państwowy Polski i na całości jej terytorium, przy czem przynależność tę ujawnił poprzez świadome przechowywanie w celu rozpowszechniania 32 sztuk odezw komunistycznych”.*

Ta formuła powtarza się we wszystkich procesach komunistycznych, jakie odbyły się przed Sądem Okręgowym w Łomży w latach od 1919—1938 roku. Ile ich było? Nie zostało to dotychczas ustalone. Całość archiwum Sądu Okręgowego prawdopodobnie spłonęła w czasie działań wojennych. Dlatego m.in. nie wiadomo również, jaki wyrok zapadł w tym procesie Jaroszkiewicza. W tym, bowiem nie był to pierwszy, ani jedyny proces w życiu tego oddanego sprawie działacza. Nie jedyny też, jaki odbył się w latach trzydziestych przed Sądem Okręgowym w Łomży. Z zachowanych akt wynika, że rok 1930—1931 były latami ofensywy policyjnej przeciwko ruchowi komunistycznemu.

ZENON PIECHOCIŃSKI
Fot. RYSZARD PIECHOCIŃSKI

dokumenty

festyn twardostopych

Fotoreportaż: Gabor Lörinczy

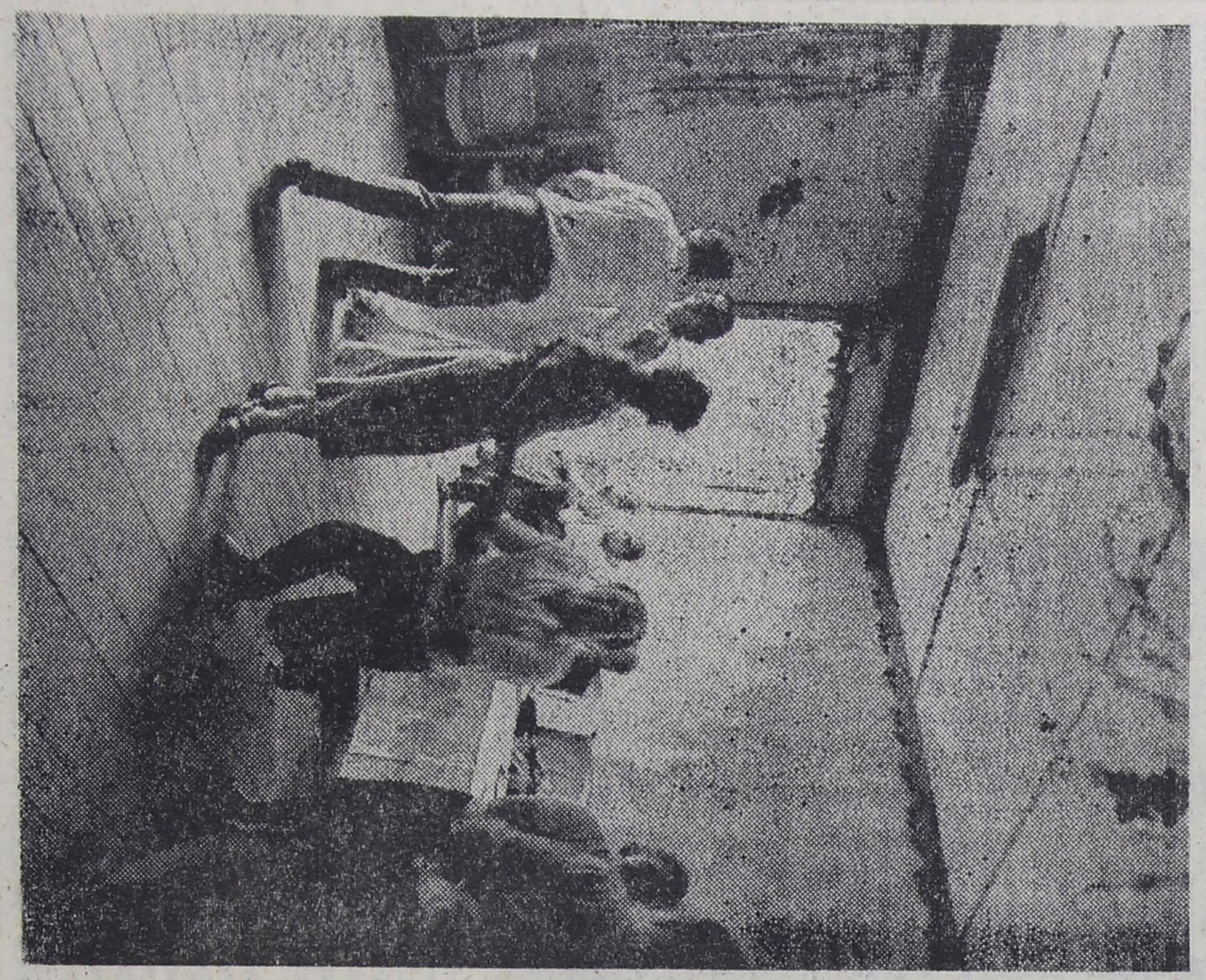

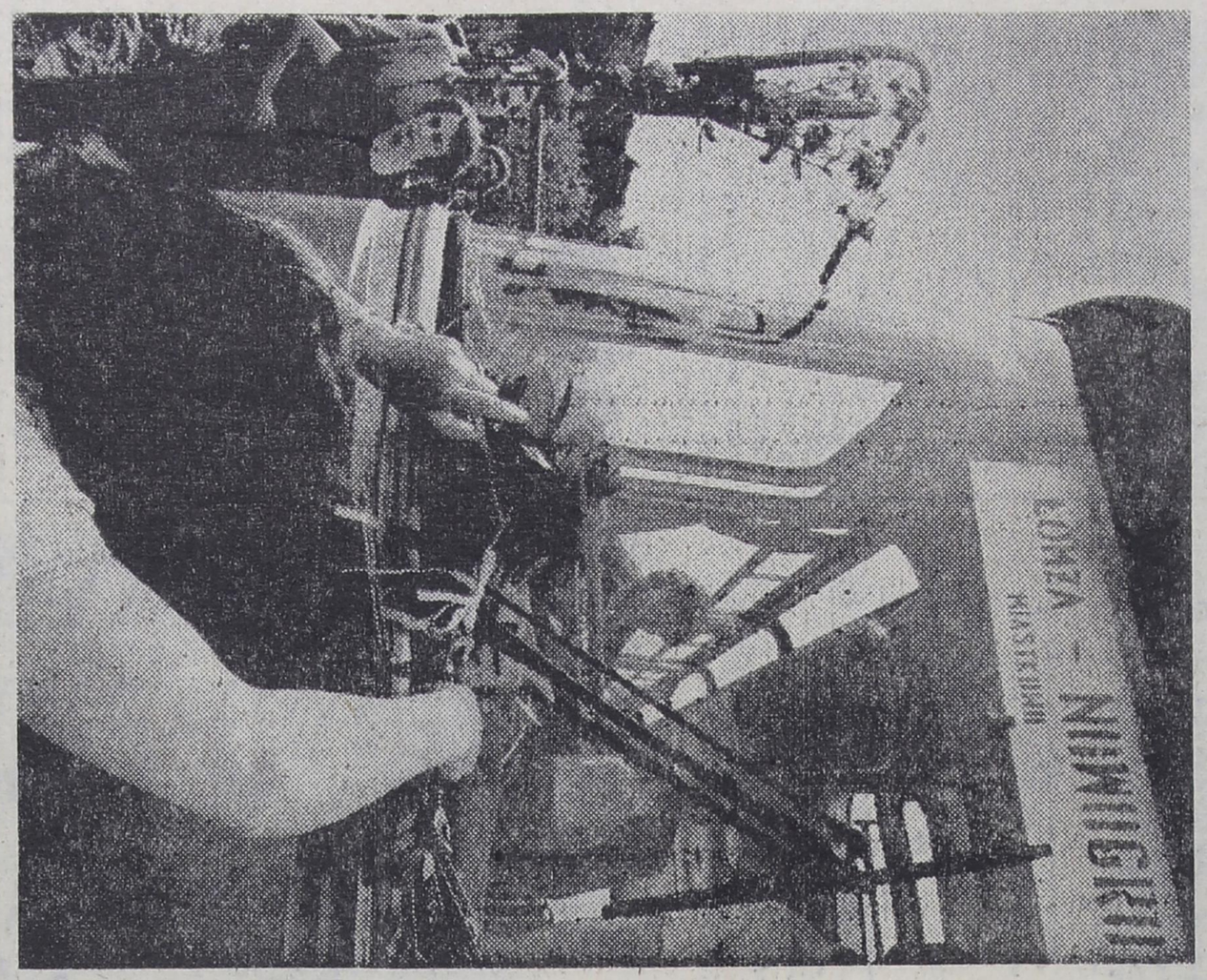

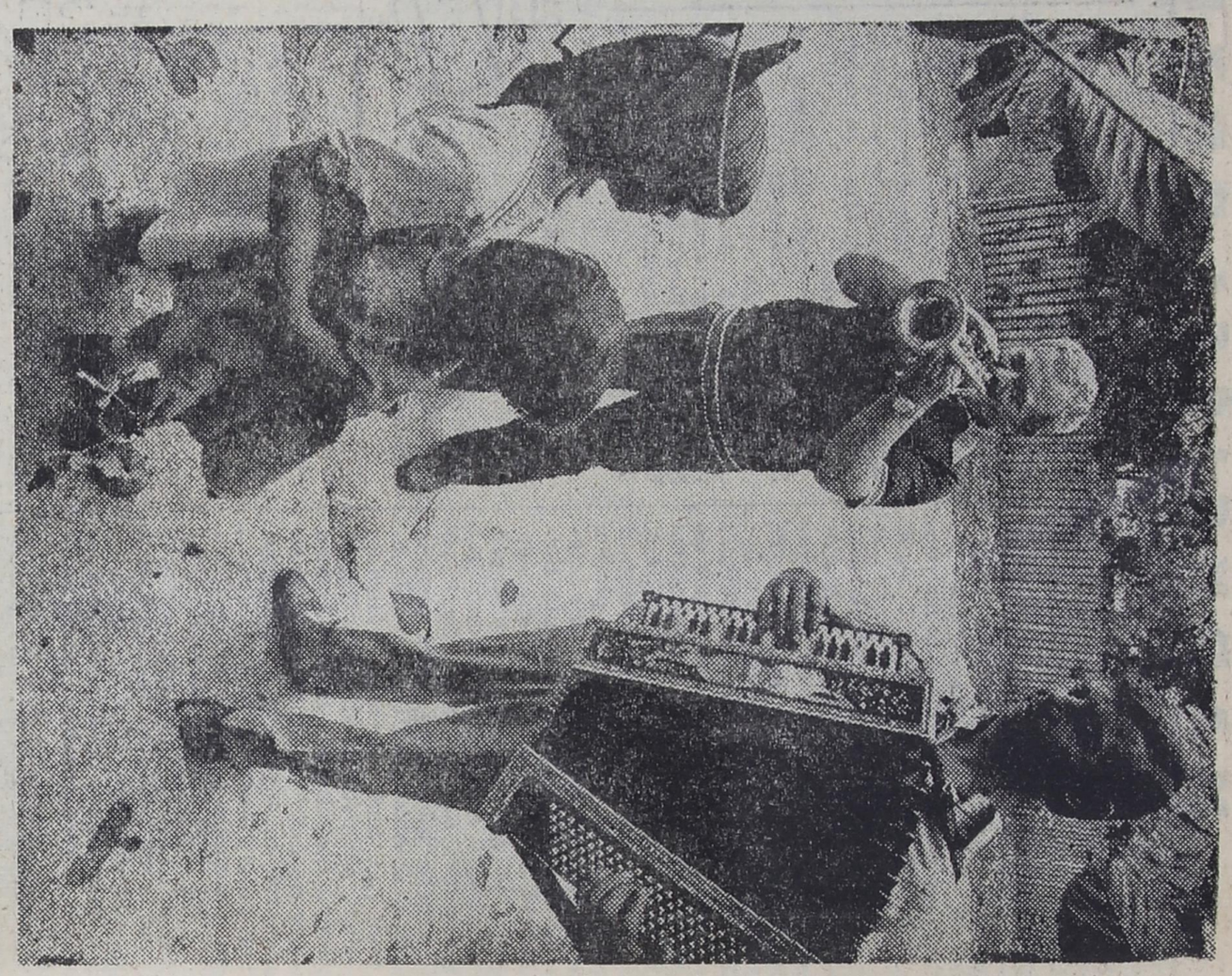

Na otwarcie linii autobusowej Janko Młodzianowo czekało ponad dwanaście lat. Dopiero w przededniu Zielonych Świąt, wzbijając tumany kurzu, na niedawno załatanej żwirówce, z półgodzinnym opóźnieniem zajechał z impetem różnokolorowy autosan. Powitało go ponad pół wsi. Roześmiany od ucha do ucha kierowca poprosił o papierosa, a kobiety w międzyczasie ubierały pojazd kwiatami. Naczelnik Jerzy Decprzeciął wstęgę, zadośćuczyniając sławetnej tradycji. A Antoni Chojnowski, miejscowy opiekun ZSL ogłosił rozpoczęcie „festynu sportowego". Biegano po bruku na bosaka, co budziło podziw przyjezdnych, którzy mimochodem zauważyli, że obok znanych im twardogłowych rośnie nowa generacja twardostopych. Oby z pożytkiem dla kraju!

Święto wieńczyła zabawa ludowa z poczęstunkiem w remizie strażackiej Skarbowa Młodzianowa. I my tam byliśmy, co prawda miodu nie piliśmy, ale też kryzysu gospodarczego nie zauważyliśmy!

25.06.1981 TV 1.07.1981

CZWARTEK 25 CZERWCA 1981 R.
PROGRAM I

9.00. Kino Teleferii — „W pewnym małym osiedlu".
16.25. „Telewizja w sprawie miliardów"
16.55. Program dnia.
17.00 Dziennik Telewizyjny.
17.30. Informator turystyczny.
17.50. „Impulsy".
18.10. „Poligon".
18.50. Dobranoc.
19.00. „Sonda" — „R.U.R."
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. „Pegaz".
21.15. XIX Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej — Opole 81.
22.15. Dziennik Telewizyjny.
22.35. XIX Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej — Opole 81.
23.35. „Telewizja w sprawie miliardów".

PROGRAM II

17.30. Program dnia.
17.35. Język rosyjski (28).
18.05. Język francuski (28).
18.35. Język angielski dla zaawansowanych (17).
19.00. Program lokalny.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. NURT — język polski.
20.30 NURT — praca — technika.
21.00. NURT — pedagogika.
21.30. 24 Godziny.
21.40 „Militaria, Obronność, Nowoczesność".
22.10. Paderewski w interpretacji studentów.

PIĄTEK 26 CZERWCA 1981 R.
PROGRAM I

9.00. Teleferie Telewizji Najmłodszych — spotkanie klubu przyrodników.
9.30. Kino Teleferii „W pewnym małym osiedlu".
16.25. NURT — porozmawiajmy.
16 55. Program dnia.
17.00. Dziennik Telewizyjny.
17.30. „Dzień dobry, w kręgu rodziny".
18.00. Film animowany.
18.20. Lekarz radzi.
18.30. „Świadkowie".
18.50. Dobranoc.
19.00. Monitor rządowy.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Aktualności DTV.
20.15. Rolnicze rozmowy.
20.25. „Listy o gospodarce".
21.15. XIX Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej — Opole 81.
22.15. Dziennik Telewizyjny.
22.35. XIX Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej — Opole 81.
23.35. Filmowe Studio Młodych — „Lęk przestrzeni" w reż. Krzysztofa Nowaka.

PROGRAM II

17.30. Program dnia.
17.35. Język rosyjski (29).
18.05. Język francuski (29).
18.30. Język angielski dla zaawansowanych (17).
19.00. Program lokalny.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Program publicystyczny.
20.30. Koncert Kompozytorski Krzysztofa Pendereckiego.
21.10. 24 Godziny.
21.40 „Aureola" — komedia francuska.

SOBOTA 27 CZERWCA 1981 R.
PROGRAM I

9.00. Program dnia.
9.05. Kino Teleferii „Dzieci spod 47a".
9.40. Magazyn lotniczy.
10.15. Człowiek, Ziemia, Kosmos. W rocznicę lotu Mirosława Hermaszewskiego
10.45. STUDIO 2.
18.50. Dobranoc — „Przygody Bolka i Lolka".
19.00. STUDIO 2.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. STUDIO 2.

PROGRAM II

15.00. Program dnia.
15.05. Klub Jazzowy Studia Gama.
15.35. Polska leży nad Bałtykiem — teleturniej.
16.20 Popołudnie Przygody i Podróży.
18.00. „Wyrok" (6) odc. pt. „Sens Życia" — ostatni odcinek serialu.
19.00. Program lokalny.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Przeboje mistrzów (13) — program Janusza Cegiełły.
20.55. Teatr sensacji — „Detektyw" w reż. Andrzeja Chrzanowskiego (powtórzenie z 1980).
22.00. „Opowieści miłosne" — „Samo południe" — film telewizji angielskiej.

NIEDZIELA 28 CZERWCA 1981 R.
PROGRAM I

6.55. TTR, RTSŚ — Wiedza naszą szansą.
7.35. Nowoczesność w domu i zagrodzie.
7.45. Alarm przeciwpożarowy trwa.
7.55. Tydzień — magazyn Redakcji Rolnej.
8.55. Program dnia.
9.00. Telewizjada.
9.30. Kino teleranka — „Kłusownik" (2).
10.30. Antena.
11.00. Wielkie miasta świata — Wiedeń.
12.00. Dziennik Telewizyjny.
12.45. PGR — bez mitów — program Redakcji Rolnej.
12.15. Estrada folkloru.
13.45. „Weryfikacja" reportaż filmowy
14.00. Górskie ballady Ludwika Korkosza.
14.30. Losowanie dużego lotka.
14.45. Telewizyjny Koncert Życzeń.
15.30. Rozmowy z pisarzem — Jerzy Andrzejewski
16.30. „Odkrywanie poety" — Zbigniew Zapasiewicz recytuje poezje Juliana Tuwima.
17.15. Wielcy znani i nieznani — Eugeniusz Kwiatkowski.
18.00. Studio Sport.
19.00. Wieczorynka.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Bunddenbrookowie" (10).
21.05. XIX Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej — Opole 81 cz. II.
22.15. Sportowa Niedziela.
22.40. XIX Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej — Opole 81 cz. II.

PROGRAM II

11.15. Program dnia.
11.20. Program wojskowy.
11.50. Teatr Telewizji — Mirosław Krleża — „W agonii" (powtórzenie z poniedziałku).
13.10. Tylko w Niedzielę.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Tylko w Niedzielę.

PONIEDZIAŁEK 29 CZERWCA 1981 R.
PROGRAM I

9.00. Teleferie TDC, w programie m.in. film z serii „Dzieci spod 47a" pt. „Kłopotliwe zakupy".
16.25. NURT — porozmawiajmy.
16.55. Program dnia.
17.00. Dziennik Telewizyjny.
17.30. „Droga" (3) — „Musisz to wypić do dna" — film TP.
18.30. Dom i My — poradnik.
18.40. Giełda.
18.50. Dobranoc — „Bajeczka o samotnym piesku".
19.00. Echa stadionów.
19.30 Dziennik Telewizyjny.
20.00. Rolnicze rozmowy.
20.10. Teatr Telewizji — August Strindberg — „Burza" w reż. Andrzeja Łapickiego.
21.35. Program publicystyczny.
22.35. Dziennik Telewizyjny.

PROGRAM II

18.55. Program dnia.
19.00. Program lokalny.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Dzień Indyjski w Telewizji Polskiej.

WTOREK 30 CZERWCA 1981 R.
PROGRAM I

9.00. Kino Teleferii — „Dzieci spod 47a" — pt. „Jednooki potwór".
16.55. Program dnia.
17.00. Dziennik Telewizyjny.
17.30. Polska Kronika Filmowa.
17.40. Interstudio.
18.10. Telewizja Młodych — magazyn CDN.
18.50. Dobranoc — „Dziwne przygody Koziołka Matołka".
19.00. Camerata.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. „Morze obiecane" — francuski film fabularny.
21.50. Program publicystyczny.
22.45. Dziennik Telewizyjny.
23.00. Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

18.55. Program dnia.
19.00. Program lokalny.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Sagi rodzinne — Kolberg.
20.30. Wtorek Melomana — Recital Magdaleny Rezler.
21.30. 24 Godziny.
21.40. „Drzemiące tony" — film fabularny prod. szewdzkiej.

ŚRODA 1 LIPCA 1981 R.
PROGRAM I

9.00. Kino Teleferii — „Dzieci spod 47a" odc. pt. „Niezapłacony rachunek".
16.55. Program dnia.
17.00. Dziennik Telewizyjny.
17.30. „Beduini z doliny Rammu" — film dokumentalny.
18.20. Magazyn motoryzacyjny.
18.35. Losowanie małego lotka i express lotka.
18.50. Dobranoc — „Wielkie pranie".
19.00. Film przyrodniczo-krajoznawczy.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Karol Marks — lata młodości" (23) — serial filmowy.
21.40. Program publicystyczny.
22.10. Program muzyczny.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
23.25. Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

18.55. Program dnia.
19.00. Program lokalny.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Kosmos 1981.
21.30. 24 Godziny.
21.40. Kosmos 1981.

Łomża, kino „Październik": 25—27 VI — „Saturn 3", prod. ang. (od lat 12); 28—30 VI — „Moskwa nie wierzy łzom", prod. radz. (od lat 15); 1—3 VII — „Wielki sen", prod. ang. (od lat 15).

Ciechanowiec, kino „Meteor": 25—28 VI — „Ojciec Święty Jan Paweł II w Polsce", prod. pol. (bez ograniczeń); 30 VI—1 VII — „Godzina miłości", prod. szwedz.-norwes. (od lat 15).

Grajewo, kino „Relax": 25 VI — „Cena strachu", prod. USA (od lat 18); 26—28 VI — „Maschville", prod. USA (od lat 15); 29—30 VI — „W biały dzień", prod. pol. (od lat 15); 1—2 VII — „Pułapka na generała" prod. jug. (od lat 15).

Jedwabne, kino „Oaza": 25 VI — „Przypływ uczuć", prod. franc. (od lat 18); 27—28 VI — „Brawurowe porwanie", prod. USA (od lat 18); 1—2 VII — „Prawdziwe życie Drakuli", prod. rum. (od lat 15).

Kolno, kino „Wrzos": 25—26 VI — „Porwanie «Savoi»", prod. pol. (od lat 12); 27 VI—1 VII — „Robotnicy '80" prod. pol. (od lat 12).

Nowogród, kino „Ziemowit": 27—28 VI — „Śmierć z komputera", prod. franc. (od lat 15); 30 VI—1 VII — „Port lotniczy 77", prod. USA (od lat 15).

Stawiski, kino „Saturn": 25—26 VI — „Ćma", prod. pol. (od lat 18); 27—28 VI — „Cudze pieniądze", prod. franc. (od lat 15); 30 VI—1 VII — „Superexpress w niebezpieczeństwie", prod. jap. (od lat 15).

Wysokie Mazowieckie, kino „Wars": 25—26 VI — „Bez miłości", prod. pol. (od lat 18); 27—28 VI — „Racja stanu", prod. franc. (od lat 15); 30 VI—1 VII — „Nieme kino", prod. USA (od lat 15).

Zambrów, kino „Kosmos": 25 VI — „Zamach stanu", prod. pol. (od lat 15); 26—29 VI — „Żandarm na emeryturze", prod. franc. (od lat 12); 30 VI—1 VII — „Przyjaciele", prod. jug. (od lat 15).

Kierownictwo kin zastrzega możliwość zmian programu.

Wojewódzki Dom Kultury w Łomży: „Umieć żyć" — impreza estradowa, 30 VI, godz. 16.00, 18.00, 20.00.

Miejski Dom Kultury — Dom Środowisk Twórczych w Łomży: „Podróże do wielu krajów świata" — spektakle uliczne w wykonaniu Pracowni Interdyscyplinarnej działającej przy Stowarzyszeniu Społeczno-Kulturalnym „Pojezierze" w Olsztynie 26 VI, o godz. 17.00 w Jedwabnem. 27 VI, o godz. 17.00 w Radziłowie, 28 VI, o godz. 17.00 w Łomży (ul. Mariana Buczka); Dyskusyjny Klub Filmowy „To Tu" — film prod. włosk. „Matka i córka" (reż. Vittorio de Sica), w sali WDK, 26 VI, godz. 18.00; zebranie inauguracyjne Klubu Młodego Literata (w Klubie „Pod Arkadami"), 29 VI, godz. 18.00.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Grajewie: poranek filmowy dla dzieci. 25 VI, godz. 11.00.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Zambrowie: przegląd plastyki dziecięcej, do 30 VI, w godz. 8.00—19.00.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Rajgrodzie: „Święto młodości" (estrada nad jeziorem), 27 VI, godz. 16.00; wystawa prac malarki-amatorki, Stefanii Matysiewicz.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Szczuczynie: „Popołudnie z bajką" — impreza dla najmłodszych, 25 VI; „Czy znasz swoje miasto?" — zgaduj-zgadula, 27 VI; gry i zabawy dla dzieci (w Parku Miejskim), 1. VII, w godz. 10.00—18.00.

Gminny Ośrodek Kultury w Wąsoszu: nauka tańca dla dzieci. 25 VI, godz. 17.00.

Klub Oddziału Wojewódzkiego Stowarzyszenia PAX w Łomży, ul. Rządowa 8: „Fazy rozwoju demokracji socjalistycznej w PRL" — spotkanie z red. Ryszardem Skwarskim, 27 VI, godz. 16.00; „Solidarność" jako element funkcjonowania systemu społecznego w PRL" — spotkanie z red. Grzegorzem Kędziorą, 27 VI, godz. 17.00.

Zarząd Oddziału PTTK w Łomży zaprasza wszystkich członków oraz sympatyków **Klubu Wodnego „Canoe"** na zebranie nadzwyczajne, które odbędzie się w sali Cechu Rzemiosł Różnych w Łomży, 30 VI, o godz. 18.00.

NOWOŚCI WYDAWNICTWA POJEZIERZE

Stefan Gołębiowski: „Do nieznajomej". Nakład 2850 egz., str. 90, zł 20.
Zbigniew Nienacki: „Księga strachów". Nakład 59750 egz., str. 276, zł 42.

Ogłoszenia drobne

Szczęśliwie kojarzy małżeństwa Biuro Matrymonialne „Mazury" Olsztyn 2, skrytka 336. K 604-00

Biuro Matrymonialne „Piast" 84-300 Lębork, skrytka pocztowa 22 — poleca usługi.
p 909-1

Nadwozie do „Fiata" 126 — sprzedam. Łomża, tel. 43-08, lub 55-32 (pi piętnastej).
p 965-1

Działkę z rozpoczętą budową w Kupiskach Starych — sprzedam. Wiadomość: Andrzej Bałazy, 18-421 Piątnica, ul. Ogrodowa 19.
p 975-1

kusząca propozycja „Kontaktów"

unikalne muzeum straszydeł, demonów i niesamowitości w Łomży

Już od malutkiego berbecia ciekawie wypatrującego oczęta na wszystko i na wszystkich każde z nas wie, że oprócz ciepłych, opiekuńczych dłoni matki i groźnie brzmiącego, ale w sumie dającego poczucie błogiego bezpieczeństwa, głosu ojca, pełno wokół nas strachów, omamów, straszydełków, czarownic, dziwożon, diabłów, upiorów i upiorząt oraz wszelakich innych, czarciej prowieniencji, poczwar i stworów. Na początek — tylko wiemy, bowiem nasza, póki co jeszcze skromna, wyobraźnia i pełna, nieskrępowana afirmacja wszelkich przejawów poczwarkującego, rozkwitającego i przygasającego życia, nie pozwala nam na przejmowanie się tym, co niesie i co może nam ono przynieść w przyszłości. Gaworzymy śpiewnie wyrywając owłosienie z ogona szkaradnego potworka i ani nam przez myśl nie przebiegnie ulęknąć się jego groźnie połyskujących, szklanych oczu. Jeżeli płaczemy, to tylko dlatego, że mucha ma skrzydła i leci, a my opatuleni w ciepłe bety tkwimy w tym zasmarkanym wózeczku zamiast polecieć za nią i oskubać ją do ostatnich odnóży. No i czasem boli nas brzusio, ale wtedy nie myślimy o niczym zajęci przekazywaniem światu okrzyków zdziwienia i srogiego ubolewania. Kiedy z pełzania poprzez raczkowanie i pierwsze, nieśmiałe próby spojrzenia horyzontalnego przechodzimy do gwałtownych skoków, podskoków i w ogóle karkołomnego baraszkowania, uwagę naszą przykuwa coś, co do tej pory traktowaliśmy raczej instrumentalnie — książka. Dotąd braliśmy ją do ręki ostrożnie, dopiero po namyśle obrywaliśmy okładki i długo, długo potem, już metodycznie, strona po stronie, drobiliśmy, drobiliśmy, drobiliśmy, aż do całkowitego znudzenia. Teraz postępujemy inaczej. Drobimy, owszem, ale tylko do czasu, gdy pośród tysiąca bezkształtnych plam pokaże się ona — Baba Jaga. Z okrzykiem „mamo!" chowamy się za spódnicę. I w taki oto sposób uczymy się rozpoznawać pierwsze ludzkie uczucie — strach. Szybko oswajamy się z nim. Odbieramy Babie Jadze miotłę, poddajemy operacji plastycznej jej nos, obcinamy krogulcze paznokcie i ondulujemy potargane włosy. Jeszcze łatwiej poskramiamy nimfy wodne, świtezianki, palimy na stosach czarownice, które nie w naszej epoce i nie naszym krowom odbierały mleko. Z wampirami, upiorami i strzygami za pan brat jesteśmy dniem, nocą natomiast wolimy nie mieć z nimi nic do czynienia. Zamawiamy, zaklinamy, dłonią wyczuwamy poziom strachu we włosach i dla pewności zwykle przyspieszamy kroku. To już nam nie przechodzi aż do śmierci.

Strach zabawy, strach przyjemny, strach z dreszczykiem, strach upiorny. Jest tych strachów w naszym życiu bardzo dużo. Towarzyszą nam pod postacią codziennych, drobnych obaw, nagłych, niespodziewanych przerażeń. Oswajamy je sobie, nadajemy kształty, nazywamy. Rzezamy je w drewnie, wykuwamy w kamieniu, malujemy i rysujemy na płótnie i na papierze. I są już te demoniczne — śmieszne, a te zabawne — dalej zabawne. I śmiejmy się z nich, bo nie ma nic przyjemniejszego niż poczucie, choćby chwilowej, wyższości nad własnymi lękami i słabościami. Gdyby tak zebrać je wszystkie... I teraz już całkiem serio: gdyby tak utworzyć Muzemu Straszydeł, Demonów i Niesamowitości. Nazwę moglibyśmy przedyskutować. Proponujemy nawet — napiszcie w tej sprawie. No i najważniejsze. Jeżeli podoba się Wam ten pomysł, a macie u siebie jakieś maszkaronki, czarownice, drewniane biesy oraz podania i legendy z nimi związane, przyślijcie je nam. Znajdziecie się w „Złotej Księdze" ofiarodawców. My, czyli redakcja „Kontaktów" i Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej, obiecujemy Wam, że za jakiś czas będziecie mogli odwiedzić pierwsze w Polsce Muzeum... No właśnie. Czekamy na propozycje!

D. A. WRONISZEWSCY

za tydzień „Kontakty" 6 zł

nowe ceny gazet i czasopism

Od 1 lipca obowiązują nowe ceny gazet i czasopism. Kupując następny numer „Kontaktów" przygotuj 6 złotych (czyli 2 złote więcej niż poprzednio). Nasz tygodnik podwyżka ta dotknie łagodniej niż inne pisma. Bo na przykład za „Politykę", „Życie Gospodarcze", „Kulturę" — będziemy płacić po 10 złotych; za „Panoramę" i „Perspektywy" — po 20 złotych; za „Przekrój" — 15 złotych, „Szpilki" — 12 złotych, „Dialogi" i „Miesięcznik Literacki" — po 40 złotych, „Sugestie" — 50 złotych i wreszcie „Projekt" — 70 złotych.

Motywacja nowych cen: postępujący wzrost kosztów wydawania prasy (coraz droższy papier, coraz wyższe koszty druku, transportu, telekomunikacji przy równoczesnym spadku ilości ogłoszeń).

KONTAKTY
Łomżyński tygodnik społeczny pismo PZPR **REDAGUJE ZESPÓŁ:** Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefania Henczelowa — zastępca redaktora naczelnego, Nina Omelczenko — sekretarz redakcji, Lech Gizelbach, Wiesław Kołowski, Juliusz Świredo, Danuta Wroniszewska, Aleksander Wroniszewski, Stanisław Zieliński Fotoreporter — Gabor Lőrinczy. Redaktor techniczny — Zbigniew Henczel Korekta — Elżbieta Słupska **STAŁE WSPÓŁPRACUJĄ:** Andrzej Bartosz, Aleksander Grün, Wiesław Janicki, Henryk Kin, Andrzej Kozłara, Klemens Krzyżagórski, Jan Kulka, Piotr Kuncewicz, Marek Kusiba, Tadeusz, Mocarski, Franciszek Piątkowski, Tomasz Piotrowski, Zbigniew Siedlecki, Andrzej Tchórzewski, Marek Goebel. **ADRES REDAKCJI:** ul. Sadowa 10 18-400 Łomża Tel 34-95. 40-22, telex — 853249 **WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch"**, Białostockie Zakłady Graficzne Zam. 1024/81 Nakład 20.000. A-5 PL ISSL 0208-6840 — Nr indeksu 36328 Ogłoszenia przyjmuje: Biuro Reklam i Ogłoszeń Red. tyd. „Kontakty" 18-400 Łomża, ul. Sadowa 10, tel. 34-95 40-22 oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa Książka-Ruch" na terenie całego kraju Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

POKUSY
pod redakcją Andrzeja Koziary

MINI-KABARET

PIEKIEŁKO

PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY

DIABELSKIE OBRACHUNKI

Diabły na brzegu jeziora Rajgrodzkiego. Narwiański odłupuje gips z ogona. Dojlicki i Biebrzański przygotowują się do wodowania jachtu „ZŁOTY ZĄB — DAR RENCISTKI". Bużański ślęczy nad czymś w głębi planu.

DOJLICKI: No, to walcie, tylko nie za mocno!

Biebrzański wali w burtę „Złotego Zęba" butelką z etykietką zastępczą „Maślanka — non toxic — Grajewo". W jachcie robi się dziura.

DOJLICKI: Mówiłem, żeby nie za mocno. Zamalujcie to natychmiast.

BIEBRZAŃSKI: Czerwoną czy białą?

DOJLICKI: Różową.

Biebrzański miesza farby. Narwiański szepcze coś Dojlickiemu do ucha.

DOJLICKI: Bużański czyta? Niemożliwe, chyba ogląda obrazki, wiecie, takie z emiołkami Charliego.

NARWIAŃSKI: Czyta. Odpisałem kawałek. O: „długie przebywanie razem w ograniczonej przestrzeni jachtu, brak możliwości odizolowania się od współtowarzyszy, a także przerwany kontakt z pozostawioną na lądzie społecznością — są zasadniczymi przyczynami stresów. Dariusz Bogucki — »Jachtem na wody polarne« — Wydawnictwo Morskie Gdańsk 1980".

DOJLICKI: Pokażcie to! (*czyta sam*) „Skrajne formy stresów pojawiają się w sytuacjach wybitnie ciężkich, awaryjnych i katastrofalnych. W momencie samego zdarzenia występują typowe reakcje paniki, na którą zazwyczaj jedynym antidotum jest ostre przywołanie do porządku, przy użyciu nawet drastycznych metod." W porządku. Jest antidotum — odpływamy!

BIEBRZAŃSKI: Jest antidotum! Odpływamy!

Diabły rzucają się do steru nie wyłączając Bużańskiego, który obciążony intelektualnie walczy jedną ręką, ale nie mniej skutecznie, czyli bez skutku. W końcu Dojlicki wyciąga z wody ociekający rumpel.

DOJLICKI: Zacytujcie coś, kolego Bużański.

BUŻAŃSKI: O pływaniu bez steru nic tu nie ma.

DOJLICKI: Nie macie innego klasyka?

BIEBRZAŃSKI: Osiadamy!

DOJLICKI: Na czym?

BIEBRZAŃSKI: Łacha toto nie jest, rafa koralowa też nie. Wygląda, że kartofle.

DOJLICKI: Który gatunek?

BIEBRZAŃSKI: Nowa odmiana — k a r t o f l a u j a w n i o n a. Wsadza się jesienią a wykopuje na wiosnę. O, tu jest instrukcja: przepędzić, zakapslować, podawać z okazji imienin, rocznic, można codziennie, jeśli lekarz nie przypisze inaczej.

NARWIAŃSKI: Jeść się tego nie da, a pingwinów też nie widać.

BUŻAŃSKI: Wujek mi mówił, że łapa białego niedźwiedzia, to jest to.

DOJLICKI: Nie interesują nas jednostkowe gusta waszego wujka, który podobno był przedwojennym urzędnikiem. Wypowiedzcie się jako ekspert.

BUŻAŃSKI: Cytuję: „Zwierzęta żyjące w tundrze można łapać we wnyki i pułapki, nawet najprymitywniejsze. Rośliny kwitnące są jadalne i można z nich przyrządzać zawiesiste zupy typu jarzynowa. Ryby morskie można jeść na surowo, słodkowodne zaś trzeba gotować. Tłuszcz foczy może być stosowany jako paliwo..."

DOJLICKI: Foki i krakusy są pod ochroną.

BUŻAŃSKI: Krokusy chyba?

NARWIAŃSKI: Ooo! Niedźwiedź idzie!

BIEBRZAŃSKI: To raczej Piętaszek...

POSTAĆ: Kuliedzy...

DIABŁY CHÓREM: Supraski!!!

NAGOWSTRĘTY STARE

CZARNA MSZA

W 1679 r. na dworze Ludwika XIV wybuchł skandal. Komisarz policji paryskiej donosił, że pod bokiem króla mieści się centrala międzynarodowego gangu handlującego m.in. truciznami. Aresztowano 300 osób, 36 skazano na śmierć, cztery zesłano na galery, 34 — na banicję. Obok zapasów trucizny skonfiskowano woskowe kukiełki, czarne świece i inne akcesoria czarnej magii, a także przyrządy do wywoływania poronień, mordowania niemowląt i pokwitowania na ogromne sumy za tzw. czarne msze.

W aferę zamieszanych było wielu ludzi o świetnych nazwiskach i bezpośrednio związanych z dworem. Należała do nich królewska kochanka, markiza de Montespan.

Do odprawiania czarnych mszy przyznał się Guibourg, 60-letni garbus. Zdarzało się, że podczas takich mszy na ołtarzu, którego rolę pełniła naga młoda dziewczyna (chętnie występowały w tej roli damy dworu), zarzynano niemowlę. Inni aresztowani „celebranci" nie posuwali się tak daleko, ale cel czarnych mszy — magia miłosna — był zawsze taki sam.

Prowadząca śledztwo „Komisja Arsenału" (przy okanach zasłoniętych czarnymi storami i przy świecach) aresztowała mnóstwo utytułowanych osób. Nawet sławny Racine był podejrzany o otrucie swojej kochanki. Nikogo jednak z wielkich nie skazano.

Franz Masereel, Ilustracja do „Dylla Sowizdrzała" Charlesa de Costera — 1926 rok. Pojenie, przypiekanie i rozciąganie stawów nagiej czarownicy w obliczu Trybunału. Reprodukcja Włodzimierza Cieślowskiego

„Chateau", dwupiętrowy budynek w zachodniej części Hollywood, na zewnątrz niczym się nie wyróżnia, wnętrze za to jest co najmniej egzotyczne, a sprawiają to cztery lochy pełne ram do naciągania stawów, pręgierze, kajdany i drewniane krzyże, na których rozpina się klientów. Dom ten nie oferuje usług seksualnych, pełni jedynie rolę specjalnego teatru, w którym zadaje się wyztarczająco dużo bólu, by wprawić w rozkosz każdego masochistę. Personel składa się z 13 kobiet — sześciu dominujących, trzech uległych i czterech specjalistek od biczowania. Wykonuje zindywidualizowane usługi sadomasochistyczne, z których korzysta co najmniej tysiąc zamożnych klientów, wśród nich wielu statecznych sędziów, lekarzy i wyższych urzędników. Przychodzą tu po to, by ich związano, zakneblowano, naciągnięto im stawy, pobito i... zrozumiano.

Panie z „Chateau" uważają się za swego rodzaju terapeutki. „Lekarze i dentyści — mówi jedna z nich — też muszą czasami sprawiać ból żeby wyleczyć."

NAGOWSTRĘTY NOWE

WYBORUJ MALEŃKIE DZIURKI

Freud, który sadyzm i masochizm uważał za jeden z najbardziej mrocznych elementów ludzkiej natury, nie dożył czasów ich skomercjalizowania w amerykańskiej popkulturze. Nie dożył czasów gdy w kąciku porad „Playboya" mogła się ukazać notatka, jak przygotować domowym sposobem packę do bicia w celach erotycznych: „Wyboruj w packe maleńkie dziurki dla zmniejszenia oporu powietrza..." Niektóre grupy rockowe od lat głoszą sadomasochistyczne przesłania. Fotografowie mody, a zwłaszcza Helmut Newton, uczynił z S-M temat niezwykle elegancki pod koniec lat siedemdziesiątych; dziś jest on po prostu „normalką". Dział bielizny damskiej domu towarowego Joske'a w Dallas wystawił niedawno damskiego manekina w czarnym pasku do podwiązek pochylającego się nad męskim manekinem zakutym w kajdanki. W boutiku „Różowy Kiciuś" na Florydzie wielkim popytem cieszą się policyjne kajdanki i bicze, nieźle idzie także uprząż dla panów w cenie 70 dolarów.

Psycholodzy, badający nasilające się zjawisko S-M, przeprowadzili 80 wywiadów z call-girlsami i szefowymi burdeli w całym kraju. Z rozmów tych wynika, że spośród 7.645 klientów tych specjalnych domów usługowych, ponad 60 procent to politycy i ludzie sprawujący jakąś formę władzy — oni najczęściej żądają, by zadawano im ból i poniżano ich.

Rys. Andrzeja Podulki

Sennik — przepowiednie niechybne

ANIOŁEM BYĆ

Abecadła się uczyć — czyha nieprzyjaciel

Adres przeglądać — zatrudnienie ciężkie; wyszukiwać czyjś adres — strata czasu

Adresować list — nowina

Adwokat — rozmawiać z nim — kłopoty; słuchać go — korzyść; adwokatem być — zdobyć wielki majątek

Afisze czytać — zniewaga; oglądać — choroba

Agrest jeść — zgoda; zrywać — zmartwienie

Akademik — widzieć go — zmartwienie; rozmawiać z nim — plotki

Aksamit — niepomyślność

Akuszerkę widzieć — spotka zawód

Akcyza — wielkie wydatki

Altana — odwiedziny bliskich gości

Ambona — szczęście

Amnestia — powodzenie w interesach

Anglika widzieć — czyhanie udanych przyjaciół

Anioła widzieć — choremu śmierć; zdrowemu szczęśliwa nowina

Aniołem być — wielkie szczęście i radość

Apetyt — odjazd bliskich

Apostoł — choroba przyjaciela

Apteka — być w niej — słabość

Aptekarza spotkać — radość

Araba widzieć — długa choroba

Zoologia

O BOBRACH

Na bobry polowano z powodu futra, ale nie tylko. W cenie były również bobrze jądra, którym przypisywano moce szczególne, między innymi właściwości lecznicze. Drobno posiekanych jąder używano również jako przyprawy dla poprawienia smaku tytoniu. Stąd też głęboka wiara w to, że ścigany przez człowieka bóbr potrafił dla świętego spokoju odgryźć sobie jądra. O zdejmowaniu futra w czasie ucieczki źródła taktownie milczą.

POKUSY
organ samoistny